Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — MONTHLY REVIEW

Nr 129 (Rok VIII, Nr 12) Grudzień, 1948 Cena (Price) 2/-

PO WYBORACH W AMERYCE

NAJWAŻNIEJSZYM bodaj wydarzeniem ubiegłego miesiąca były wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przejdą one do historii jako jedna z największych niespodzianek wyborczych. Do dnia wyborów opinie, zarówno amerykańska jak i zagraniczna, były całkowicie jednomyślne w tym, że zwycięstwo odniesie partia republikańska, że prezydentem zostanie Thomas Dewey i że skończą się po szesnastu latach rządy partii demokratycznej. Truman, dotychczasowy przypadkowy prezydent, wydawał się być zupełnie skompromitowany.

To powszechne przekonanie o nadchodzącym zwycięstwie republikanów stało się jedną z przyczyn ich klęski. Frekwencja wyborcza była niewielka, gdyż bardzo wielu wyborców uważało, że i tak wynik jest z góry przesądzony, a Dewey wybrany będzie i bez ich wysiłków. Pewność zwycięstwa spowodowała również, że republikanie zlekceważyli zupełnie zabiegi o popularność. Zrazili sobie związki zawodowe, zrazili grupy obcojęzyczne, nie przedstawili żadnego przekonywającego programu polityki zewnętrznej. Tymczasem Truman dokonał olbrzymiego wysiłku osobistego, objechał całe Stany i wysunął wszystkie popularne sprawy. Za cenę rozłamu w partii demokratycznej, który okazał się mało szkodliwy, zyskał głosy murzyńskie. Za cenę pozornej kompromitacji z niedoszłym do skutku wyjazdem osobistego wysłannika do Stalina, zyskał sobie nie tylko część głosów komunistycznych, ale także głosy ludzi najbardziej obawiających się wojny, a tych są w Ameryce miliony.

W ich oczach Truman był bardziej „pokojowy" niż Dewey. Ten ostatni, mimo wysuwania bardzo pokojowych haseł, uważany był za bardziej „wojennego". Wyborcy ci uważali za rzecz bezpieczniejszą głosować na Trumana.

Poważną rolę odegrały również sprawy społeczne. Demokraci posiadają różne skrzydła i według pojęć europejskich niesposób ich określić jako lewicy, mają oni jednak pewien dorobek społeczny z czasów Roosevelta, mieli poparcie związków robotniczych i wysunęli program kontroli cen i hasło reform społecznych. Republikanie narazili się w tych kołach na niepopularność przegłosowując w Kongresie prawo skierowane przeciwko związkom robotniczym (tzw. Hartley - Taft Act) i sprzeciwiając się kontroli cen.

Nie mniej ważne były przyczyny ustrojowe. Konstytucja Stanów Zjednoczonych, ułożona w czasach gdy Stany były dość luźnym związkiem prymitywnych kolonii o prawie nieistniejącej władzy centralnej, przewiduje, że wraz ze zmianą prezydenta następuje zmiana wszystkich urzędników federalnych, a nawet wszystkich dyplomatów. Wskutek tego zmiana partii rządzącej oznacza pogrążenie aparatu rządowego w chaos na przeciąg długich miesięcy, a wraz z tym i bezczynność polityczną. Wielu Amerykanów obawiało się, że w obecnej sytuacji międzynarodowej i wobec światowej roli Stanow tego rodzaju okres chaosu może być bardzo niebezpieczny i należy go unikać. Co ważniejsze, w ciągu ostatnich kilkunastu lat nastąpiła w Ameryce zasadnicza zmiana w postaci rozbudowania aparatu centralnego i powstania nowej warstwy urzędniczej. Dla warstwy tej sprawa ostatnich wyborów była kwestią życia lub śmierci i niewątpliwie użyła ona wszystkich możliwych środków dla zapobieżenia zwycięstwu republikanów.

Ponad tą warstwą urzędniczą stoi wszakże środowisko polityków, intelektualistów i finansistów, których początkiem był tzw. trust mózgów Roosevelta. Środowisko to byłoby w trudnej sytuacji w razie zwycięstwa republikanów i nie łatwo byłoby mu utrzymać dotychczasowe decydujące wpływy.

Wynik wyborów zawiódł oczekiwania wielu ludzi, którzy niekiedy w ostatniej chwili przechodzili na stronę Deweya. W trudnej sytuacji znaleźli się przewódcy Kongresu Polonii. Nie uzyskując żadnych obietnic ze strony Deweya zadeklarowali się oni po jego stronie, okazało się jednak, że Polacy amerykańscy w swej masie nie poszli za ich wezwaniem. W ten sposób, wybrane niedawno na cztery lata, kierownictwo Kongresu Polonii zawisło w próżni: Polacy amerykańscy, mimo iż mogli sądzić, że głosy ich idą na przegrane, woleli oddać je Trumanowi, który przynajmniej poruszył sprawę polską w swoim programie, niż Deweyowi, który odmówił jakiejkolwiek wzmianki o niej zarówno w swoim programie jak i w wystąpieniach swojej partii.

Dla polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych wybór Trumana nie oznacza zwrotu w kierunku bardziej prosowieckim, gdyż polityka ta dyktowana jest koniecznościami państwowymi; oznacza jednakże utrzymanie w aparacie państwowym, zwłaszcza zaś w dyplomacji ludzi sprzyjających Sowietom, a nawet pewnej ilości „wtyczek" komunistycznych.

PSD

Życie polityczne środowiska polskiego w Wielkiej Brytanii ożywiło się w ostatnich tygodniach. Dokoła tego ożywienia powstało bardzo wiele plotek i wiadomości tendencyjnie przejaskrawionych. Ożywienie wywołane zostało przyjazdem do Londynu pp. Mikołajczyka, Bagińskiego i Korbońskiego, a w ślad za nimi prof. Kota. Panowie ci przeprowadzali dość szerokie rozmowy polityczne, których wynikiem było stworzenie Porozumienia Stronnictw Demokratycznych, tj. PPS, PSL i grupy Popiela.

Podstawa tego porozumienia nie jest z punktu widzenia polityki polskiej dostatecznie jasna. Wprawdzie podpisane stronnictwa stwierdzają, że Polska nie jest związana narzuconymi jej umowa-

nił, przez co rozumieć można tylko negatywne ustosunkowanie się do Jałty, jednakże nie ma tam ani słowa o granicy ryskiej — w przeciwieństwie do wyraźnego określenia granicy na Odrze i Nisie, nie ma również wyraźnego stwierdzenia bezprawności rządu warszawskiego ani uznania prawowitych władz Rzeczypospolitej.

Niezbędnymi z punktu widzenia narodowego warunkami sprawnego działania polityki polskiej jest z jednej strony zachowanie ciągłości prawnej Państwa Polskiego, której wyrazem są Prezydent i Rząd w oparciu o obowiązującą Konstytucję, z drugiej zaś Rząd oparty o podstawę reprezentacyjną, tzn. o porozumienie stronnictw. Stanem najlepszym, do którego usilnie dążyć należy jest, przy zachowaniu ciągłości prawnej, oparcie Rządu o wszystkie duże stronnictwa polskie stojące na gruncie niepodległości. Najgorszym stanem byłoby istnienie rządu nieopartego w ogóle o główne ruchy polityczne i nieuznawanego przez nie. Stan jaki istnieje obecnie nie jest stanem najlepszym, ale nie jest też i najgorszy. Rząd opiera się o dwa stronnictwa. Dążyć należy do oparcia go o wszystkie główne stronnictwa polskie, lecz jest jedna cena, której za takie rozszerzenie zapłacić nie można, a mianowicie zejście ze stanowiska bezwzględnego legalizmu, całości i niepodległości.

Pogłoski, jakie krążyły uprzednio o możliwości powołania jakiegoś komitetu mającego reprezentować część stronnictw i być niejako konkurencją dla Rządu, okazały się na szczęście nieuzasadnione. Porozumienie stronnictw lewicowych charakteru takiego komitetu nie nosi, ani nie wystąpiło w charakterze organu konkurencyjnego wobec Rządu. Przypomina ono nieco zeszłoroczną Koncentrację Demokratyczną. Dwie drobne grupy Koncentracji, tj. NiD i Stronnictwo Demokratyczne zniknęły, a ich miejsce zajęły PSL i grupa Popiela.

KU ROZSTRZYGNIĘCIOM WE FRANCJI

W wyborach do Rady Republiki dnia 8 listopada generał de Gaulle osiągnął zwycięstwo, które może w niedalekiej przyszłości zadecydować o dalszym rozwoju wypadków w położeniu wewnętrznym Francji. Na 269 miejsc ruch de Gaulle'a (Rassemblement du Peuple Francais) zdobył 127 mandatów, przy czym nieznane są jeszcze wyniki wyborów 51 reprezentantów z terytoriów zamorskich. Jest rzeczą wątpliwą, by R P F mógł liczyć na absolutną większość swoich własnych głosów w Drugiej Izbie (zasiada w niej 320 reprezentantów), nie można jednak wykluczyć możliwości głosowania tzw. niezależnych bądź nawet niektórych członków stronnictw rządowych razem z de gaullistami. Jeżeli taka większość się wyłoni, obecna koalicja, złożona z socjalistów, chrześcijańskich demokratów i radykałów, nie mogłaby się dłużej utrzymać. Według obowiązującej konstytucji bowiem każda ustawa uchwalona przez Zgromadzenie Narodowe a odrzucona absolutną większością w Drugiej Izbie, nabiera mocy prawa jedynie, jeżeli zostanie ponownie uchwalona bezwzględną większością głosów przez Zgromadzenie. A wiadomo, że stronnictwa rządowe w Zgromadzeniu Narodowym nieraz w przeszłości osiągały minimalną większość, ponieważ najczęściej spora ilość posłów, nie zgadzając się z projektami rządowymi, a nie chcąc wywołać kryzysu rządowego, wstrzymywała się od głosowania. Jeżeli de Gaulle potrafi obecnie osiągnąć większość w Radzie Republiki, rządowi tzw. trzeciej siły nie pozostałoby nic innego, jak rozwiązać Zgromadzenie Narodowe i rozpisać nowe wybory.

Z punktu widzenia europejskiego, a więc także krajów poza żelazną kurtyną, brak stabilizacji politycznej we Francji musiał budzić największy niepokój. Sam fakt, że w trzy i pół lata po zakończeniu wojny rząd tzw. trzeciej siły nie potrafił skutecznie przeciwstawić się partii komunistycznej — stanowi świadectwo bankructwa politycznego. Widowisko zmieniających się jak w kalejdoskopie gabinetów i defetyzm nie mogły przysporzyć autorytetu Francji w obozie mocarstw zachodnich ani w oczach mniejszych narodów europejskich. W ujarzmionych zaś krajach Europy Środkowej, a zwłaszcza Polsce, stan rzeczy we Francji podkopał i tak już zachwianą wiarę w siły i zdolności regeneracyjne cywilizacji zachodniej.

W niektórych kołach na Zachodzie szerzone jest twierdzenie, że nowe wybory we Francji i dojście de Gaulle'a do władzy mogą być początkiem wojny domowej. Ale czy stan dzisiejszy, a zwłaszcza strajki, w których rolę zasadniczą odgrywają uzbrojone grupy komunistyczne, nie posiada wszelkich znamion rewolucyjnych?

De Gaulle ponadto jest przez te same koła oskarżany o tendencje dyktatorskie. W istocie rzeczy de Gaulle nie żąda niczego więcej aniżeli wzmocnienia władzy prezydenta i rządu, który by mógł rządzić, jak to się dzieje czy w W. Brytanii czy Stanach Zjednoczonych. De Gaulle nie dąży do osiągnięcia władzy drogą zamachu stanu, ale przez wybory. Wielu ludzi we Francji sądzi, że właśnie rozpisanie nowych wyborów może ocalić system parlamentarny od katastrofy. Stronnictwa rządowe natomiast, bojąc się wyników wyborów, robią wszystko, by termin ich odwlec. Dla każdego bezstronnego obserwatora tymczasem musi być rzeczą jasną, że akcja dywersyjna komunistów oraz wynikający chaos polityczny i ekonomiczny nie mogą być tolerowane w nieskończoność. Wymaga tego zarówno interes Francji, jak najszerzej pojęty interes całej Europy.

KRYZYS W CHINACH

Podczas gdy na Zachodzie Europy „zimna wojna" między Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi — ze swoimi dwoma najbardziej zapalnymi punktami: Berlinem i sytuacją strajkową we Francji — nabiera pozorów stabilizacji, gdzie każda ze stron umacnia się na dotychczasowych pozycjach — o tyle „gorąca wojna" na Dalekim Wschodzie wydaje się wchodzić w decydującą fazę. Ostatnie wypadki w Chinach i ich następstwa mogą mieć zasadnicze znaczenie dla ogólnej sytuacji międzynarodowej, a w szczególności dla dotychczasowej doktryny politycznej Stanów Zjednoczonych.

Jak dotychczas polityka Stanów Zjednoczonych w stosunku do Rosji opiera się na koncepcji Kennana (głównego planisty strategii politycznej Marshalla), a mianowicie głównym celem tej polityki jest utrzymanie i konsolidacja pozycji nie objętych jeszcze dominacją Rosji Sowieckiej i niedopuszczenie do dalszego postępu i penetracji wpływów sowieckich. Wychodząc z takich założeń polityka Stanów wysunęła na plan pierwszy problem niedopuszczenia Sowietów do zawładnięcia Europą Zachodnią. Wynikiem tego był plan Marshalla pomocy ekonomicznej dla Europy Zachodniej, poparcie udzielone paktowi brukselskiemu i obecne rozmowy zmierzają do rozszerzenia tego paktu w alians atlantycki, obejmujący również Stany Zjednoczone i Kanadę.

Sprawa ekspansji Sowietów na Dalekim Wschodzie znalazła się na drugim planie. Pewnego rodzaju obojętność Stanów Zjednoczonych wobec zagadnień wojny domowej w Chinach miała różne powody, takie, jak niechęć Marshalla do reżymu Czang Kai Szeka datująca się od czasu, kiedy misja jego, jako ambasadora Stanów Zjednoczonych w Chinach, zmierzająca do pogodzenia rządu narodowego i komunistów nie udała się, następnie brak zaufania do „reakcjonistów" z Kuomintangu, wreszcie korupcja i despotyzm tolerowane przez rząd narodowy, które to wady łącznie z nieudolnością aparatu rządowego nie dawały gwarancji czy rząd ten przy najdalej idącej pomocy Stanów Zjednoczonych potrafi rozstrzygnąć wojnę domową na swoją korzyść. Był może jeszcze jeden powód, dla którego Stanom Zjednoczonym nie spieszyło się ingerować bardziej stanowczo w Chinach. Wojna domowa stała się tam zjawiskiem powszednim, trwa już od dłuższego czasu i mogło się wydawać, że upłynie jeszcze dłuższy okres czasu zanim któraś ze stron potrafi ją rozstrzygnąć na swoją korzyść. Wydawało się więc, że zagadnienie wojny w Chinach może polityka amerykańska odłożyć do czasu, kiedy los Europy Zachodniej zostanie zabezpieczony.

Tymczasem wypadki ostatnich tygodni postępują z szybkością wyjątkową, jak na stosunki w Chinach. Zajęcie Mukdenu przez komunistów i ostateczne opanowanie Mandżurii nie zatrzymało ani na chwilę ich ofensywy. Wykorzystali oni natychmiast ten wielki sukces wojenny i psychologiczny i rozpoczęli nową ofensywę ku południowi Chin. Od jej wyniku może zależeć los stolicy rządu narodowego, a może nawet los całych Chin.

Opanowanie całych Chin przez komunistów i upadek rządu narodowego Czang Kai Szeka mogłyby mieć niezwykle poważne następstwa. Zwycięstwo komunizmu w Chinach już przez sam fakt, że kraj ten ma 1/5 ludności całego świata byłoby symptomem niezwykle groźnym dla świata cywilizacji zachodniej. Oprócz tego zwycięstwo takie wzmocniłoby psychologicznie pozycję komunistów wszędzie, łącznie z Europą i Ameryką Południową. Ale konsekwencje dałyby się odczuć przede wszystkim w krajach azjatyckich takich, jak Indie,

Birma, Syjam, Malaje, Indochiny, Indonezja. Pamiętać bowiem należy, że komuniści chińscy są najlepiej wyrobionym elementem komunistycznym z wszystkich krajów Dalekiego Wschodu i bezpieczni w samych Chinach będą w jeszcze silniejszym stopniu użyci przez Kreml do wzmocnienia i kierowania akcją komunistyczną we wszystkich krajach południowo-wschodniej Azji.

Wydarzenia, które obecnie mają miejsce w Chinach i ich ewentualne następstwa muszą być bardzo poważnie wzięte pod rozwagę przez Stany Zjednoczone. Możliwość wzmocnienia bloku komunistycznego o kilkaset milionów ludności nie może dla polityki Stanów Zjednoczonych pozostać rzeczą obojętną i musi ona zająć bardziej zdecydowane stanowisko wobec tych wydarzeń. Wypadki na Dalekim Wschodzie mogą spowodować rewizję dotychczasowych koncepcji, a nawet prowadzić do zmian dotychczasowych założeń polityki amerykańskiej w stosunku do zagadnienia ekspansji Sowietów. Obecna sytuacja w Chinach siłą swego ciężaru wysuwa zagadnienie powstrzymania penetracji komunistycznej w Azji o ile nie na plan pierwszy w polityce amerykańskiej, to co najmniej stawia je na równi z zagadnieniem zatrzymania naporu komunistycznego w Europie Zachodniej.

Wypadki w Chinach mogą również otworzyć oczy na fakt, że postawa defensywy wobec komunizmu sformułowana przez Kennana nie wystarcza i że ofensywa jest najlepszym środkiem obrony.

CASUS JANTY

Kiedy kilka miesięcy temu zajęliśmy się na tym miejscu ideowymi zgrzytami w „Kulturze", miesięczniku polskim wydawanym w Paryżu, nie było jeszcze zbyt wielkich obaw, że linia ideowego obojniactwa, mętny pseudohumanizm, pseudoobiektywizm i to co się przyjęło nazywać z niemiecka schoengeistostwem —że to wszystko jest po prostu niewesołą koniecznością redakcyjną poszukiwania piór. Niestety po artykułach p. Bobkowskiego, zacierających przepaść między komunizmem a naszą cywilizacją, po nic nie tłumaczącym tłumaczeniu się opiekuna paryskiego falansteru p. Czapskiego, artykułami swymi na łamach tego pisma zaczął emigrację uszczęśliwiać p. Janta Połczyński.

Nie kto inny, lecz właśnie zespół z willi pod Paryżem zajmujący się „Kulturą" puścił na swych stronach udowadnianie przez p. Jantę, że właściwie ogromna część ludzkości jest zboczona seksualnie, że zatem przestaje być uzasadnione określenie tego zjawiska jako czegoś nienaturalnego. Jakiś profesor i znawca owego tematu poświęcił temu w USA książkę. Przeczytało się to z obrzydzeniem. Łamy literackiego pisma są dla tych spraw najmniej właściwym miejscem, figlarny niemal styl reportażysty Połczyńskiego ujmuje zagadnieniu resztek powagi.

Następnie p. Janta pojechał do Polski. Tam właśnie zapanował klimat dla tego rodzaju „literatury" i tego rodzaju „nauki". Do dziś bowiem w Polsce, dopóki nie jest zrealizowany w pełni komunizm, dopóki naród uparcie walczy, bronią wypróbowaną i ulubioną komunizmu jest degenerowanie atakowanego narodu, jego deprawacja moralna, polityka tworzenia w kulturze mafijek, które kolejno kupuje się lub uzależnia od siebie. Z całym naciskiem powiedzieć trzeba, że polityka ta stosowana była na odcinku kultury w Polsce przedwojennej, że takie „literackie" akcje, jak Krzywickiej czy Boya, przyniosły w społeczeństwie polskim zmiany wyraźne i z przerażeniem notowane przez tych, których nie oszukały pozory „czystej sztuki". Kryła się za nią — powtarzamy — konsekwentna robota dezorganizowania ideowego kultury polskiej i polskiego obyczaju, by na miejsce powstałego zamieszania i chaosu mógł kiedyś wkroczyć zwycięski, prymitywny i wcale nie schoengeistowski system bolszewicki. Część owczesnych pionierów tej roboty w Polsce, na czele z nieżyjącym Boyem, złożyła ideowy hołd bolszewikom już w pierwszych latach okupacji. Rola innego członka tej konspiracji — Iwaszkiewicza, zarysowała się wyraźnie podczas okupacji w kraju, a już jawnie po tak zwanym „wyzwoleniu" przez komunizm. Zajmuje wtedy najwyższe stanowiska z nominacji nowego okupanta, gromadzi wokół siebie pomniejsze figurki z oficjalnym stemplem zawodowych literatów, poetów, krytyków, pisarzy. Nie trzeba dodawać, że jedną z nici łączących to doborowe towarzystwo jest wspólny pogląd na rzekomo przedawnioną, burżuazyjną moralność. Dla całkowitego zamydlenia oczu p. Iwaszkiewicza nazywa się jeszcze pisarzem... katolickim.

W walce z narodem polskim i wartościami bronionymi przez wszystkich, którzy nie dali się sterroryzować, użyta została po raz wtóry literacka grupa przedwojenna, tym razem korzystająca z jeszcze większych przywilejów, niż dziesięć lat temu. Zadaniem doraźnym tej grupy jest przemieszanie kultury polskiej tam, gdzie nie da się wszystkiego załatwić policją i więzieniem. Amnestia komunistów darowała drobne herezje poszczególnych jednostek. Alkoholik Gałczyński za wódkę pisze „litanie" do „lipcowej rewolucji" i w nagrodę jeździ do Moskwy jako oficjalny delegat literatury polskiej na rocznicę narodzin ZSSR i na zachłystywanie się defiladą czerwonej armii. Takich przykładów jest niestety — więcej.

I oto przyjeżdża do Polski p. Janta Połczyński, jeździ wzdłuż i wszerz, jak sam wyznaje niezaczepiony przez nikogo, rozmawia z wszystkimi i — o dziwo — wyjeżdża znów na Zachód. Po co? Przecież tam u Borejszy, tego rodzaju „artystom" żyć nie umierać.

Nie to jest więc ciekawe, że Janta tam pojechał, ciekawe, że wrócił, że swój powrót na emigrację cynicznie opisał, że „Kultura" z tego cynizmu skorzystała i myśli p. Janty podała do wiadomości społeczeństwa polskiego, którego dumą i obowiązkiem jest przechowanie nieskażonego ducha kultury polskiej.

Tu właśnie leży sedno zagadnienia a dylemat dla „Kultury" i wszystkich tego rodzaju środowisk. Albo — albo. Albo się przestanie służyć dwóm panom w dziedzinie kultury, montować w życiu literackim na emigracji przeróżne rozkładowe mafijki — albo jazda pod skrzydło Iwaszkiewicza, „Gandhiego" (vide artykuły p. Bobkowskiego) & Co. Tu, społeczeństwo emigracyjne, zbierające siły do rozprawy z komunizmem na każdym polu, a więc na polu kultury także, będzie bardzo uważnie patrzyło na palce i nazywało rzeczy po imieniu.

W. T.

PRYMAS HLOND

ZGON kardynała Hlonda stanowi wydarzenie w życiu narodu polskiego. Zmarły zajmował w nim miejsce szczególne, nie tylko jako głowa Kościoła Katolickiego w Polsce, lecz także jako osobistość. Zniknięcie jego z areny życia publicznego stanowi istotnie niezastąpioną stratę.

August Hlond pojawił się w życiu polskim w pierwszych latach po pierwszej wojnie światowej z opinią człowieka rzymskiego. Obserwowano go z pewną rezerwą w chwili, gdy jako młody jeszcze ksiądz obejmował administrację nowoutworzonej diecezji katowickiej. Wiedziano o nim, że jest salezjaninem o poważnej, mimo młodego wieku pozycji w swoim zakonie i że pochodzi ze Śląska, na który powrócił w charakterze administratora diecezji. Jakże różny był stosunek społeczeństwa do tego samego człowieka po kilkunastu latach!

Ledwie przekroczywszy czterdziestkę ks. Hlond konsekrowany został na biskupa śląskiego, a wnet potem na arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, prymasa Polski. Jednocześnie prawie otrzymał kapelusz kardynalski. Młody prymas bardzo szybko umiał zająć należne mu miejsce w hierachii kościelnej. Niesposób w krótkich słowach ocenić jego wkładu w reorganizację Kościoła w Polsce. Wspomnieć przecież należy o szczególnym przywiązywaniu wagi do wychowania nowego pokolenia duchowieństwa. Prawie cała obecna wyższa hierarchia kościelna w Polsce składa się z ludzi nominowanych, a w znacznej mierze i wyszkolonych przez kardynała Hlonda. Dla obsługi Polaków poza granicami utworzył on specjalne seminarium w Pobiedziskach, z którego wyszli duszpasterze polscy na cały świat.

Kardynał Hlond nie tylko zajął miejsce w hierarchii kościelnej, ale stał się w okresie dwudziestolecia niepodległości odrębnym czynnikiem w życiu społecznym. Jego listy pasterskie tyczące tak pierwszorzędnych spraw, jak komunizm, masoneria, sprawa żydowska, ustrój państwa i sprawa praworządności — ważyły na naszym życiu społecznym. W ostatnich latach przed wojną Prymas coraz częściej powracał do swego przewidywania o zbliżaniu się ogromnego dramatu dziejowego, a w czasie wojny starał się doszukać moralnego sensu w jej przebiegu, dostrzegając kolejne coraz cięższe karanie pychy poszczególnych narodów.

We wrześniu 1939 r. na życzenie rządu kardynał Hlond udał się do Rzymu. Jakkolwiek pobyt jego tam był bardzo owocny i Stolica Apostolska w pierwszym okresie wojny stanowczo ujmowała się za Polakami i sprawą polską, to

jednak kardynał Hlond czuł żal, że nie pozostał w kraju, gdzie duchowieństwo ponosiło krwawe hekatomby, zwłaszcza na zachodzie. Toteż, po przymusowym pobycie we Francji, a następnie w więzieniu niemieckim i po uwolnieniu przez Amerykanów zdecydował się powrócić do kraju. W jego niezłomnej postawie, w gorącości z jaką prowadził w kraju walkę o ocalenie ducha chrześcijańskiego, w jego bojowej nieugiętości ostatniego okresu było być może echo owego długo przemyśliwanego żalu na obczyźnie.

Jeżeli pozycja kardynała Hlonda w społeczeństwie polskim w chwili wybuchu wojny była bardzo wybitna, to trzy lata jego powojennego prymasostwa wyniosły go w kraju ponad resztę rodaków. Pod jego przewodem obrona zasad katolickich i praw Kościoła przed zalewem komunistycznym stała się zarazem obroną narodu. Walka była wielostronna. Kościół prowadził obronę rodziny, obronę ducha młodzieży i ducha szkoły, obronę wolności słowa na ambonie.

Znaczenie tej walki przekracza ramy zagadnień czysto polskich. Nabrała ona znaczenia wręcz światowego, jako walka o charakter wysuniętego i kluczowego bastionu duchowego. Polska, która w r. 1920 zatrzymała na sobie napór militarnej potęgi komunizmu, obecnie wstrzymuje w Europie napór potęgi duchowej zorganizowanego w jedno z najpotężniejszych mocarstw świata komunistycznego materializmu. Ktokolwiek myśli o tej walce, nie będzie mógł zapomnieć osoby Augusta Hlonda, kardynała prezbitra Świętego Rzymskiego Kościoła, ze zgromadzenia ks. Salezjanów, arcybiskupa gnieźnieńskiego i warszawskiego, prymasa Polski, legata Stolicy Apostolskiej, urodzonego 5 lipca 1881 r. w Brzęckowicach na Śląsku, jako syn kolejarza, a zmarłego 22 października 1948 r. w Warszawie.

* * *

W pierwszych dniach po zgonie prymasa Hlonda zaczęto mówić, że następcą jego na stolcu prymasowskim może być biskup Stanisław Łukomski. Biskup Łukomski, niegdyś sufragan poznański, a przez lat kilkanaście biskup łomżyński, znany był ze swego niezłomnego charakteru i jasnego umysłu oraz z nieugiętości w obronie praw Kościoła. W kilka jednak zaledwie dni po rozejściu się tych pogłosek ks. biskup Łukomski wracając z pogrzebu prymasa Hlonda zginął w katastrofie samochodowej.

NAUKA POLSKA W WIELKIEJ BRYTANII

Rozmowa przedstawiciela redakcji „Myśli Polskiej" z profesorem Władysławem Folkierskim, Ministrem WR i OP

Od czasu do czasu społeczeństwo emigracyjne szuka wyrazu w utyskiwaniu i krytyce, jakby w ten sposób szukając lekarstwa na sytuację polityczną, w jakiej znalazła się połowa Europy, a w szczególności nasz naród. Niedostatek pod każdym względem, jaki dotyka polską emigrację polityczną, brak środków na prawidłową działalność w dziedzinie tak zasadniczej, jak praca kulturalna (oczywiście p o l s k a p r a c a k u l t u r a l n a) — powodują nie zawsze rzeczowo argumentowane przejawy krytyki.

W ostatnich miesiącach zanotowaliśmy kilka takich wystąpień krytycznych pod adresem nauki polskiej w znaczeniu najszerszym, jak również w węższym zakresie, humanistycznym, w dziedzinie kultury polskiej na wychodźstwie. Szukanie przedmiotu dla tej krytyki zaprowadziło jej autorów na drogi nieraz zupełnie rozmijające się z rzeczywistością i z prawdziwymi przyczynami braków. Część naukowców, przyrodnicy, lekarze odezwali się sami, przedstawiając ogólnikowo tylko wykaz swych prac i udowadniając — w ich dziedzinach—bezpodstawność zarzutów indolencji, lenistwa, czy braku pracy. Nie chcieliśmy się wdawać w polemiki z tymi dziennikarskimi artykułami i notatkami, które wbrew rzeczywistości umniejszały uzyskane osiągnięcia, lub przylepiały lekceważące epitety do instytucji naukowych, bądź innych mających za zadanie popularyzowanie kultury. Chcąc czytelnikom naszego pisma przedstawić argumenty rzeczowe, a jednocześnie prawdziwe przyczyny niewątpliwych braków w sprawach nauki polskiej na wychodźstwie, zwróciliśmy się do profesora Wł. Folkierskiego, Ministra WR i OP, któremu losy nauki polskiej, jako wybitnemu uczonemu i profesorowi najstarszej, Jagiellońskiej, wszechnicy polskiej, nie tylko podlegają kompetencyjnie, lecz absorbują go i pasjonują tak, jak tylko pochłaniać może przedmiot pracy całego życia.

Rozmowa ma temat ściśle ograniczony — położenie nauki polskiej w Wielkiej Brytanii. Przypominając min. Folkierskiemu ostatnie wypowiedzi krytyczne w prasie polskiej w tej sprawie, zwracamy się najpierw z zapytaniem ogólnym:

— N a c z y m, w e d ł u g P a n a P r o f e s o r a, p o l e g a t a k z w a n y k r y z y s n a u k i p o l s k i e j w W i e l k i e j B r y t a n i i ?

— Pewna paradoksalność ataków, o których pan mówi — odpowiada min. Folkierski — polega na tym, że skwapliwie przeciwstawiano bezwład czy nieróbstwo naukowców na tej wyspie dużej inicjatywie i rozmachowi panującym na innych terenach. Jest bardzo radosnym faktem, że możemy tu wyliczyć szereg terenów pozabrytyjskich, gdzie inicjatywa naukowa — może to nawet za duże słowo — inicjatywa pracy kulturalnej istnieje. Z wszystkimi tymi terenami utrzymujemy najściślejszą łączność. Wspomnę tu o Francji, gdzie pracuje Biblioteka Polska i Towarzystwo Historyczne-Literackie, założone przez Wielką Emigrację, to samo Towarzystwo, w którym pracowali: J.U. Niemcewicz, książe Adam Czartoryski, Mickiewicz, Słowacki. Do niedawna uśpione, zostało wskrzeszone do pracy i korzysta w niej z gościnnej opieki władz francuskich;

wspomnę o Belgii, gdzie pracuje Polski Instytut Naukowy, mający swoje cykle odczytów i swoje wydawnictwa;

wspomnę o Libanie, gdzie działa Polskie Towarzystwo Orientalistyczne i Studium Polonistyczne pod kierunkiem profesora USB St. Kościałkowskiego;

wspomnę wreszcie o Niemczech, gdzie inicjatywa polska wzbudza podziw i wdzięczność.

Myślę tu przede wszystkim o bogatej sieci szkół polskich, a też o działającym w Monachium Kole Profesorów i Asystentów oraz o założonym ostatnio, jak słyszę, „Polskim Towarzystwie Naukowym". Te dwie ostatnie placówki, jeśli się skupią w wysiłkach ściśle naukowych nie rozpraszając się na tereny sobie obce, mogą wiele dobrego zdziałać nawet na tak trudnym terenie i w tak trudnych warunkach, jak warunki wysiedleńcze w Niemczech.

— P r z y p o m n ę P a n u P r o f e s o r o w i, ż e s t r o n a k r y t y k u j ą c a, i s t n i e n i e t y c h i n s t y t u c j i z a p i s u j e j a k g d y b y „n a s w o j e d o b r o", p r z e c i w s t a w i a j ą c t e m u d y n a m i c z n e m u o b r a z o w i g i n ą c y w e m g l e t e r e n W y s p y B r y t y j s k i e j.

— Właśnie dlatego fakty te wysuwam na czoło — odpowiada profesor Folkierski — są to bowiem zdarzenia radosne dla całości spraw kultury, fakty, z których nie można jednak w żaden sposób wyciągać karkołomnego wniosku, że tu, na tej wyspie nie dzieje się nic, albo że się dzieje gorzej. Dlatego właśnie w dalszej części naszej rozmowy chciałbym się zająć wyłącznie stosunkami panującymi w Wielkiej Brytanii.

Zacząć muszę od kardynalnego stwierdzenia, że uprawianie nauki jest pracą trudną, ciężką, wymagającą w normalnych nawet warunkach specjalnej opieki. Trudności są rozliczne. Musi więc istnieć s e l e k c j a n a u k o w a: dziś stwierdzić należy selekcję à r e b o u r s — tragiczne przetrzebienie sił naukowych przez nieprzyjaciół Polski. W normalnych warunkach pracy naukowca musi on mieć zapewnione minimum egzystencji, żeby mógł poświęcić swój czas badaniu, formułowaniu i pisaniu: dziś możliwości stypendyjne polskie się kończą, a o stypendiach naukowych brytyjskich w zakresie humanistyki polskiej w ogóle nie ma mowy.

— Niestety, wiemy Panie Ministrze, że zarzucona już w polityce tradycyjna angielska zasada **splendid isolation** obowiązuje dziś w całej pełni w odniesieniu do kultury polskiej; istotnie nie istnieje na tej wyspie jakiekolwiek zainteresowanie naszych gospodarzy dla historii czy literatury polskiej. Mamy wdzięczność dla Anglików za dużą pomoc stypendialną jaką okazują naszej młodzieży specjalizującej się w zawodach technicznych. Zbyt dobrze jednak

wiemy, że Brytyjczycy nie są ani w najmniejszym stopniu skłonni do popierania tak „niepraktycznych" zainteresowań wśród młodzieży polskiej jak zamiłowania humanistyczne. Ze stanu tego znaczna część społeczeństwa emigracyjnego zdaje sobie sprawę. Znając takie stanowisko Brytyjczyków wobec nauki i kultury polskiej, wiedząc o brakach minimum egzystencji życiowej wśród pracowników kulturalnych, o braku jakichkolwiek funduszów na cele wydawnictw naukowych — zwracamy się z zapytaniem, *czy i jakie są tutaj, w Wielkiej Brytanii, przejawy polskiej pracy naukowej?*

— Tu właśnie przystępujemy do sedna rzeczy — mówi min. Folkierski. — Inicjatywa polska musiała przy katastrofalnym braku środków materialnych polegać na kurczowym organizowaniu się i zrzeszaniu pracowników naukowych w towarzystwa naukowe. Przede wszystkim muszę wspomnieć o *Polish Research Centre* — instytucji, założonej dla spraw nauki i kultury polskiej. Placówka ta posiada największą w Wielkiej Brytanii bibliotekę o typie naukowym polonoznawczym. Jak sama nazwa wskazuje, *Polish Research Centre* był pomyślany jako instytucja badawcza, popierająca wysiłki naukowe polskie, oraz jako instytucja wydawnicza. W tym ostatnim charakterze *Polish Research Centre* ma w swym dorobku szereg publikacji. Nie mówiąc o wydawnictwach użytkowych w czasie wojny, które nas tutaj nie obchodzą, w latach ostatnich instytut ten wydał pracę prof. Wielhorskiego „Polska a Litwa — Stosunki wzajemne w biegu dziejów", książkę dra Skrzypka „The Problem of Eastern Galicia", jest w przededniu wydania znakomitej pracy historycznej z zakresu środkowo-europejskich stosunków w średniowieczu.

Niestety działalność ta musi ulec zahamowaniu i przerwie z powodu wyczerpania się funduszów. Miejmy nadzieję, że społeczeństwo emigracyjne nie dopuści do tego, żeby działalność tej placówki uległa załamaniu. Nie możemy tu liczyć na pomoc angielską, musimy liczyć na siebie samych. Zjawia się przed nami pytanie, czy Emigracja r. 1948 nie zdolna jest do zrobienia choć w części tego, co zrobiła Wielka Emigracja, zakładając Towarzystwo Historyczno - Literackie i Bibliotekę Polską, które istnieją do dnia dzisiejszego na gruncie paryskim. Pytanie to kierujemy i pod adresem naszego społeczeństwa w Ameryce.

— Charakter odpowiedzi na to pytanie — Panie Profesorze — zależy od poczucia odpowiedzialności każdego Polaka na wychodźstwie. Zobaczymy, czy umiemy tylko krytykować i narzekać, czy wziąć na siebie tę część zadań, których w obecnych warunkach rząd polski podjąć się nie może. Miejmy nadzieję, że ofiarność polska nie wyczerpała się na polu bitew.

— Przechodząc do innych stowarzyszeń naukowych — ciągnie dalej prof. Folkierski — wymienić należy przede wszystkim *Towarzystwo Historyczne*, które od kilku lat pracuje regularnie, dając co miesiąc odczyty i referaty na wysokim poziomie naukowym, wzbudzające wielkie zainteresowanie i frekwencję audytorium. Towarzystwo wydaje „*Teki Historyczne*", które także znajdują się, jak mi wiadomo, w opałach materialnych. Na czele towarzystwa stoi gen. M. Kukiel. Pod skrzydłami Towarzystwa zaczęła działać pod moim kierownictwem *Sekcja Humanistyczna*, pracująca w dziedzinie historii literatury, historii sztuki, historii kultury. Co dwa miesiące, a niekiedy co miesiąc sekcja ta odbywa posiedzenia, przedstawiając specjalistom fachowe referaty, zdjęte wprost z warsztatu naukowego.

Od czasów wojennych działa również w Wielkiej Brytanii *Polskie Towarzystwo Ekonomiczne*, odbywające posiedzenia naukowe z referatami i dyskusją, niestety warunki materialne spowodowały przerwanie publikacji Towarzystwa — „*Ekonomisty Polskiego*".

Dowiadujemy się wreszcie, że w najbliższych tygodniach ma być założony oddział *Towarzystwa im. Mikołaja Kopernika*, skupiający w swej organizacji przyrodników polskich.

— *Z odpowiedzi Pana Profesora dowiedzieliśmy się nie tylko o istnieniu instytucji naukowych, lecz także o ich pracy, jak omówiona działalność „Polish Research Centre", „Towarzystwa Historycznego" wraz z jego „Sekcją Humanistyczną". Czy jednakowoż z istnienia tych towarzystw, posiedzeń i referatów wynika jakiś trwały ślad pod postacią dzieł naukowych?*

I jedno jeszcze pytanie: Jak się przedstawia udostępnienie tych prac naukowych szerszemu ogółowi?

— Dotyka pan punktu newralgicznego. Częściowo już i na to odpowiedziałem, mówiąc o *Polish Research Centre*, w rzeczywistości jednak tu się zaczyna najpoważniejszy dramat. Z upowszechnieniem akcji kulturalnej nie jest jeszcze tak źle, choć nie możemy i tu objąć akcją szerokich rzesz, zwłaszcza młodzieży polskiej. *Instytut Kultury Polskiej* pod kierownictwem p. M. Pawlikowskiego udostępnił dużej ilości Polaków kilkadziesiąt prelekcji z dziedziny kultury. Tu również wspomnieć należy o interesującej inicjatywie grona profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego zorganizowania „Powszechnych Wykładów". Trudniej wygląda sam problem twórczości naukowej. Mogę i tu również zanotować uporczywe istnienie pracy naukowej, powiększanie się ilości gotowych do druku rękopisów — i niemożność ich wydania. To jest właśnie ten dramat, z którego wynikają także błędy logiczne krytyków: z braku książek wnioskuje się o braku rękopisów.

Mógłbym wyliczyć tu panu od razu kilkanaście gotowych rękopisów czekających na druk. Mówię o pracach ściśle naukowych, nie zaś o literackich, czy publicystycznych, o których moglibyśmy porozmawiać kiedy indziej. Takie gotowe już prace wymagają bardzo długiego czasu i zaabsorbowania się autora tematem; są owocem trudu i zmagania się z materiałem. Tego się na kolanie nie robi. Stwierdzam, że prace takie są i nie mogą być wydane z braku środków.

— *Czy można byłoby usłyszeć przykładowo w jakich dziedzinach uczeni nasi mają rzeczy gotowe?*

— Nie chcę mówić o nazwiskach autorów i tytułach dzieł, gdyż nie jestem do tego upoważniony. Mogę panu powiedzieć, że jest np. gotowa i czekająca na wydanie poważna praca naukowa o naszych Ziemiach Wschodnich (po angielsku); jest na ukończeniu doniosłe dzieło, dotyczące historii stosunków polsko-ruskich z okresu średniowiecza; czeka na druk antologia przekładów z literatury angielskiej na przestrzeni wieków, ze wstępem historyczno-literackim — rzecz pierwsza w swoim rodzaju; przygotowana jest praca po angielsku o ostatnim okresie twórczości Michała Anioła, okresie jego kryzysu religijnego; jest wreszcie na warsztacie księga prac naukowych, poświęcona Słowackiemu w stulecie zgonu. Cytuję tutaj tylko kilka tematów, których mógłbym panu wyliczyć dużo więcej.

Z całym poczuciem odpowiedzialności mogę stwierdzić, że praca naukowa na emigracji naszej istnieje. Z konieczności nie wspomniałem tu o pracach przyrodników, choć wiemy, że w laboratoriach przyrodniczych uczeni nasi nie próżnują. Spodziewamy się w tej mierze ciekawych informacji od powstającego właśnie Towarzystwa im. Kopernika.

— *Kończąc te pytania proszę Pana Profesora o jedną jeszcze odpowiedź, czy jest jakaś centralna instytucja naukowa, skupiająca tak różnolite w swej istocie wysiłki?*

— Jest. Powstała właśnie *Polska Rada Naukowa*, w skład której weszli profesorowie i docenci polscy. Cel jej, tak jak to pan sformułował w pytaniu, leży w koordynacji wysiłków naukowych, oraz w dbałości o rozwój nauki polskiej, która dziś liczyć może już tylko na taką pomoc duchową.

Zamykając nasze uwagi o nauce polskiej w Wielkiej Brytanii — kończy prof. Folkierski — powtarzam raz jeszcze: *uczeni polscy do swych warsztatów wrócili, pracują ofiarnie — położenie jednak materialne nauki polskiej w Wielkiej Brytanii jest katastrofalne, czemu rząd polski zaradzić nie może przy kurczących się środkach działania. A jednak i rząd i społeczeństwo polskie — myślimy tu również o Polonii amerykańskiej, którąśmy zainteresowali tym zagadnieniem — jakieś środki ratunku znaleźć muszą.*

T.

ADAM MACIELIŃSKI

ZWIERCIADŁO WŁOSKIE

Rzym, w listopadzie

STAN niepokoju, jaki towarzyszy naszej szczególnie generacji od najdalszych chwil dzieciństwa, ma swoje źródła bliższe we wstrząsach, które są wynikiem dwu katastrof dwu wojen światowych, ale ma też swoje źródła dalsze i znacznie głębsze w trwodze wieków zamykających jedną epokę historyczną a otwierających drugą.

W takich czasach w żadnym kraju na świecie, a tym mniej w żadnym kraju europejskim, nie może być tego tak bardzo upragnionego spokoju i pokoju i tym więcej, że tęsknota za nowym, za życiem odnowionym, odrodzonym, w duszy głównie Europejczyków, posiała u jednych ziarna pesymizmu, zwątpienia i rozpaczy, u drugich stworzyła obraz fałszywego, nieludzkiego, utopijnego raju.

Wydaje się, że dopiero w tych wymiarach rozpatrywane życie codzienne, wypadki i zdarzenia w jakimkolwiek kraju, zwłaszcza europejskim, rysują się w świetle prawdy nie przyćmione pozorami stwarzanymi przez osobiste pragnienia i chęci. Wydaje się, że dopiero pamięć o tych zasadniczych wątkach naszego współczesnego życia pozwala możliwie najlepiej przybliżyć się do istotnego sensu tego, co się dzieje, odrzucając na bok to wszystko, co jest tylko zgiełkiem i gwarem codziennego dnia.

Jeśli świat podzielił się dzisiaj na dwa przeciwstawne sobie obozy, na dwa zwalczające się bloki, to jest to skutkiem nie tylko tego wszystkiego, co narastało w świecie, szczególnie w Europie, od kilkunastu lat, a nabrzmiało w pełni w zeszłym XIX stuleciu, ale również konsekwencją fałszywej koncepcji politycznej, której wyrazem był układ powojenny w świecie po zakończeniu działań wojennych drugiej wojny światowej.

Dziś jedne państwa i narody organizowane są przez ofensywny Wschód, idący pod sztadarem nowej proletariackiej religii na podbój globu, drugie organizuje defensywny Zachód częściowo w imię obrony tego, co w znacznej mierze już obronić się nie da.

Niemal pośrodku pomiędzy tymi dwoma blokami leży Italia.

Z samej natury swojego geograficznego położenia wrzynająca się w Morze Śródziemne, przez żadnego z dwu wielkich rywali o wyłączne panowanie nad światem nie może być pominięta. Basen bowiem Morza Śródziemnego, pomimo że jest to w istocie morze zamknięte, to coś więcej aniżeli tylko ostateczna południowa granica europejskiego półwyspu. Morze Śródziemne to wrota do olbrzymiego kontynentu afrykańskiego, nie najmniejsze znaczenie mającego w polityce światowej, znaczenie raczej rosnące z roku na rok, to zagadnienie najbogatszych na świecie złóż ropy naftowej, tego oceanu naftowego rozciągającego się pod wszystkimi krajami Bliskiego Wschodu, od Kaukazu po Zatokę Perską. Już te dwa tylko elementy — a jest ich przecież cały splot — wystarczyłyby, aby w dzisiejszym świecie uczynić z Morza Śródziemnego jeden z głównych problemów polityki ogarniającej cały obszar zamieszkały przez człowieka. Ale na to, aby w basenie tym panować musi się mieć w ręku zarówno cały północny brzeg afrykański od Suezu po Ceutę, jak i trzy wrzynające się w to morze półwyspy: grecki, włoski i hiszpański. Znaczenie półwyspu włoskiego jest tym większe, że wraz z Sycylią i Pantelarią przecina on Morze Śródziemne na część wschodnią i zachodnią, posiada więc niejako kluczową pozycję w tym rejonie.

To geopolityczne położenie Italii sprawia, że z jednej strony, bez względu na to, kto mieszka na tym półwyspie, zarówno w historii jak i współcześnie — gdyż istnieją pewne czynniki stałe i niezmienne — musi interesować się czynnie wszystkim, co w całości basenu Morza Śródziemnego się dzieje i to tak po stronie europejskiej jak i afrykańskiej, a z drugiej zaś strony, każdy, kto od północy prze ku wybrzeżom europejskim tego morza nie może pominąć przeciwległego brzegu afrykańskiego.

W ostatnich czasach, w naszym stuleciu Italia zjednoczona w jedno państwo parta tą koniecznością — bez względu na późniejsze imperialne sny faszystowskie — zdobywać Trypolitanię i Cyrenaikę, brać w swoje władztwo Dodekanez, atakować Egipt, najechać Grecję, penetrować na Bliskim Wschodzie, interweniować w Hiszpanii była niejako zmuszona. To zarejestrowanie faktów historycznych nie zawiera, rzecz oczywista, żadnego usprawiedliwienia moralnego tych faktów. Dziś warunki geopolityczne Italii nie zmieniły się, ale przestała ona być jednym z mocarstw europejskich, jakim była jeszcze w epoce Mussoliniego. Batalia o Morze Śródziemne rozgrywa się głównie pomiędzy Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej a Rosją Sowiecką. Jakkolwiek główny kierunek ekspansji Stanów Zjednoczonych od kilku dziesiątków lat zwrócony jest na Pacyfik, ku kontynentowi azjatyckiemu, to jednak jako mocarstwo światowe o interesach nieograniczonych nie może pozostawić własnemu losowi przyczółka europejskiego i tym więcej, jeżeli ten przyczółek stanowi pewnego rodzaju ochronę istotnych interesów naftowych na Bliskim Wschodzie.

WIKTOR TROŚCIANKO

NOCE OBCZYZNY

1.

To nie popielate woły w kurzawie zachodu,
nad ciemniejącym Horyniem, u brodu,
idą po zboczu piaszczystym.

I na pewno nie wołanie powrotu
z łąk, rozlewisk pachnących robotą —
między rzeką a lasem nieskończonym, wiekuistym.

To nie ta sama cisza w koleinach powszedniego wieczoru,
którym Cyganie przemkną, uciekając przed siebie, przed siebie . . .
Gdy na wierzchołkach dębów czaple na sen się zbiorą
i bezszelestny nietoperz dreszczem przeleci po niebie.

2.

Inaczej. To spadająca szeroko wąwozem stalaktytów,
zastygła rzeka asfaltu w dwuszeregu ołowianych luster,
w których powierzchni martwej niebo się ledwie rumieni.

Na próżno próbuje gdzieby fiolet przechować do świtu —
— nim skamieniałe brzegi — City — obojętne i puste
poderwą kolumny cyfr albo nalot przywali płomieniem.

3.

Tysiąckonne motory — słuchaj — grają jak płuca globu;
nadlatują komety rakiet ze szlochem, zawodzeniem ponurym.
A to się dopiero zacznie. Ach, przeczekać w dwumetrowym ogródku

I zestawiać: zderzenia olbrzymów — wędrówki i pełzania mikrobów . . .
Dreptać po ścieżkach nadziei, której miękkie, aksamitne kontury
kończą się na twych mapach, na granicy bezbrzeżnego smutku.

Po omacku obejdź ulice. Zatykaj uszy rękami,
gdy doleci pieśń przerażenia pod takt obłąkanej perkusji,
lub rozkoszna symfonia wspomnień na harfy i viola d'amore.

Wielu jeszcze się wydaje, że wojny nie ma, że jeszcze nie wybuchła. Tymczasem wojna toczy się ściśle od pierwszej chwili, w której zaprzestano działań wojennych ze strony tak mało zjednoczonych narodów przeciw Niemcom. Tylko ta wojna toczy się inaczej, aniżeli zwykło to się było konwencjonalnie dotąd przyjmować. Świetnie zorganizowane armie komunistyczne, w formie partii komunistycznych i znacznej części związków zawodowych toczą regularne bitwy, ogłaszają komunikaty wojenne, prowadzą propagandę wojenną, niszczą kraj, w którym działają. Wyzbyły się one w znacznej mierze tego, co dotąd uważało się za jeden z najszlachetniejszych atrybutów człowieka, poczucie miłości własnej ojczyzny i gotowość poświęcenia dla niej wszystkiego, własnego życia nie wyłączając, a już znalazły nową ojczyznę w Rosji Sowieckiej, ku której tęsknią, za którą walczą, ogłaszając uroczyście, iż wierności starej ojczyźnie odmówią, jeżeli ta przez ich nową ojczyznę zostanie najechana.

Włoska armia komunistyczna w postaci Komunistycznej Partii Włoch od r. 1944 wzrosła z 400 tysięcy do 2,5 miliona członków obecnie. Niemniej potężny instrument akcji bojowej i dywersyjnej stanowią związki zawodowe skupiające się w Generalnej Konfederacji Pracy, kierowanej przez komunistów z jej sekretarzem generalnym Di Vittorio na czele. Strajk generalny w dniach 14 i 15 lipca 1948 r., po zamachu na sekretarza partii Togliattiego, znanego pod pseudonimem Ercoli jeszcze z czasów długiego pobytu w Moskwie na jednym z czołowych stanowisk w Kominternie, ujawnił całą sprawność aparatu komunistycznego i podległych mu organizacji, a zarazem unaocznił rozległość frontu, na którym walka się toczy. Rzecz charakterystyczna, że Togliatti, wykazujący tendencje kompromisowe został w istocie bezpośrednio po zamachu od faktycznego wpływu w obrębie partii znacznie odsunięty, a ster działań wojennych objęli głównie jako ideolog, wyznający doktrynę czystego internacjonalizmu, całkowitego podporządkowania się Kremlowi, zgodnie z uchwałami Kominformu w Sinaia w czerwcu br., Pietro Secchia, a jako kierownik organizacyjny Luigi Longo, przywódca czerwonych partyzantów z czasów ostatniej wojny. To wszystko, co dzieje się przy pomocy aparatu państwowego w krajach opanowanych bezpośrednio przez Sowiety, to tu w Italii, podobnie zresztą jak we Francji, wykonuje aparat organizacyjny komunistyczny, bardzo rozległy i obejmujący cały kraj. W ramach mieszczańskiej demokracji zachodniej były też możliwe masowe, przez komunistów organizowane, obchody 31 rocznicy rewolucji październikowej, którą Togliatti, w przemówieniu w Mediolanie, określił jako „punkt kulminacyjny w historii ludzkości“.

Najdonioślejsze bodaj zdarzenia mają miejsce na terenie robotniczym. Ten wielki problem zrodzony przez maszynę, której człowiek pozwolił się opanować, od stu lat czeka na sprawiedliwe rozwiązanie. Egoizm epoki kapitalistycznej nie potrafił tego dokonać. Generacja żyjąca niechybnie u schyłku tego systemu, płacić musi za błędy swoich dziadów i ojców, a nie zawsze chce chcieć zabrać się rzetelnie i uczciwie do rozwiązania tego arcytrudnego zagadnienia. Wydziedziczeni chcą być ludźmi. Nie rozumieją tylko tego, że to, o co walczą niesie im wyłącznie niewolnictwo i pełne pozbawienie człowieczeństwa. Oto tragiczny paradoks o tym rozleglejszym zasięgu im bardziej jest dany kraj uprzemysłowiony i im niższa jest oświata powszechna. Ci, którzy w Italii czytają wyłącznie oficjalny organ partii komunistycznej „L'Unità“ nie mogą nie widzieć świata, jak tylko w krzywym zwierciadle, a cóż dopiero powiedzieć o tych, którzy w ogóle czytać nie umieją, a których jest około 20% ogółu ludności tego kraju? W ich to imieniu, podobnie jak i w innych krajach europejskich, przemawiają fanatycy, opętani nienawiścią do tego, co jest, żądni w iście azjatyckim szale zburzyć do fundamentów to, co zbudowały wieki, tworzący już dziś całkiem jawnie antyrządy w swoich krajach, niszczący świadomie narodowy majątek i narodowy dobytek.

Podobnie jak i gdzie indziej i tu w Italii głównie socjaliści są propagatorami „trzeciej siły“ i podobnie jak i gdzie indziej i tu w Italii objęci są bardzo głęboko sięgającym kryzysem wewnętrznym. Włoska partia socjalistyczna — PSI — związana jest dotąd „paktem jedności działania“ z komunistami, a jej były sekretarz generalny Nenni, w istocie twórca tego paktu po stronie socjalistycznej, jest przewodniczącym grupy parlamentarnej tej partii. Sama partia po czerwcowym kongresie genueńskim kierowana jest przez tzw. centrum, którego przedstawicielem jest obecny sekretarz generalny partii Jacometti. Partia socjalistyczna przeszła dwa potężne rozłamy: jeden Saragata, w r. 1947, który utworzył nową partię — PSLI — i drugi na wiosnę 1948 r. I.M. Lombardo, który utworzył partię „Unione Socialista“. Ostatnio tzw. prawe skrzydło w PSI pod przewodnictwem Romity wysuwa z jednej strony postulat niezależności od komunistów, z drugiej zaś czyni wysiłki w kierunku ponownego zjednoczenia wszystkich odłamów w jednej partii na tzw. konstytuancie socjalizmu. Wierzą oni, że można w dalszym ciągu przyjąć za ideową podstawę spuściznę Marksa i Engelsa, a odrzucić interpretacje Lenina i Stalina. Trudno im zdać sobie sprawę z tego, że nie tak łatwe jest wytyczenie linii granicznej pomiędzy skrajnym socjalizmem, jakim jest komunizm, co zresztą jest stale podkreślane, a „czystym“ socjalizmem, choćby dodać przymiotnik „hu-

---

Patrz tylko kiedy reflektor niebo nad Miastem zaplami
a nienawiści podmuch pod mury, do piwnic przydusi.
I pamiętaj, ciągle pamiętaj, że to noc, że jeszcze nie pora.

4.

Wyciągać ręce będą — uważaj — nie widma, lecz ludzie
z błaganiem, drwiną i groźbą, z gestem gotowym do pieszczot.
Miń obojętnie. Nie słuchaj, gdy na fałszywych ambonach

Wołają klątwami umarłych i wszystkich, kto żyw, chcą budzić
na podpalanie ognia. Aby celniej przeszywał brzeszczot,
pazury sięgały do oczu i powróz zaciskał ramiona.

Wiedz, że i to się odbywa nim krzyk w opłotkach zapieje:
tłuszcza w kikutach oliwek czyha na rozpacz Boga,
myśląc, że już nikt — Przyjacielu — nie powie, jak Tamten właśnie.

Zawsze tak samo gałąź zjawą przed świtem szarzeje,
rosa (pamiętasz — rosę?) kołysze się chwilę na głogach.
Teraz najtrudniej.
Nie myśl, nie słuchaj — nie zaśnij.

5.

A może to woły z sianem
nad srebrem, nad Horyniem, nad ranem
idą po zboczu piaszczystym . . .

— to chyba wołanie powrotu
na łąki pachnące robotą
między rzeką — pamiętam — między rzeką i lasem wiekuistym . . .

— ta sama cisza w koleinach grubiejących świtem
gdy czaple z wierzchołków —
miasto obojętne i puste —
podmuch . . . pod mury, pod mury!

Ręce ludzi —

To noc. Obczyzna. Nie zaśnij!

Londyn, 1948

„trzeciej siły", która również i na gruncie międzynarodowym zdobyła sobie, w teorii przynajmniej prawo obywatelstwa, być może jest znamieniem naszych czasów, które niejednokrotnie zatraciły heroizm jasnego stawiania czoła problemom choćby najtrudniejszym, z którymi trzeba się pasować, brać za bary, a nie ukrywać się za domki z kart, które pierwszy lepszy podmuch dziejowego wiatru zmiecie bez śladu.

Nieco inaczej traktowany jest ten problem przez Chrześcijańską Demokrację, partię, która w wyborach w dniu 18 kwietnia 1948 r. odniosła olbrzymie zwycięstwo i za rządy krajem na najbliższych pięć lat jest w głównej mierze odpowiedzialna. Partii tej, jako całości, jest ambicją utrzymanie „złotego środka" pomiędzy skrajnymi tendencjami politycznymi i społeczno-gospodarczymi. Nie jest rzeczą dziwną, że tak jak to się dzieje w innych krajach u partii działających na tych samych podstawach ideowych, posiada ona charakter partii wyborczej typu XIX wieku, co zresztą związane jest nieodłącznie z charakterem instytucji parlamentu w formie takiej, jaką wiek XX odziedziczył po wieku XIX. Ludzie głównie tej partii przewodzący, to wychowankowie zamierzchłych już czasów liberalizmu, przesiąkli pojęciami, które w wielu wypadkach są dziś anachronizmem. Trudno im też zrozumieć, że partia komunistyczna, to organizacja innego typu, w istocie gardząca mieszczańskim parlamentalizmem ubiegłego stulecia, a tylko nie gardząca w obecnych okolicznościach i tym instrumentem swojego rewolucyjnego działania.

W obrębie Chrześcijańskiej Demokracji ostatnio sformowała się silna grupa nazywana „lewicą partyjną", pod przewodnictwem prezydenta Izby Deputowanych Gronchiego, która kładzie główny nacisk na reformy społeczne i gospodarcze, a uwagę swoją skupia najbardziej na chrześcijańskich związkach zawodowych, które oderwały się we wrześniu ostatecznie od Generalnej Konfederacji Pracy, tworząc własną Wolną Generalną Konfederację Pracy. Cele, jakie sobie ta grupa stawia, najbliższe są programowi społecznemu Akcji Katolickiej, domagającej się coraz energiczniej wprowadzenia wreszcie w życie wskazań Kościoła, zawartych w społecznych encyklikach papieskich, zwłaszcza, gdy krajem rządzi partia wyznająca te właśnie zasady w tym zakresie. Grupa rozpoczęła w listopadzie wydawanie własnego dziennika „La Libertà" i kto wie, czy nie wpłynie decydująco na dalszy kierunek działalności Chrześcijańskiej Demokracji, jakkolwiek oficjalne sfery partii bronią się przed ujawnianym przez nią dynamizmem. Na tym odcinku przyszłość zapowiada się więc dość ciekawie.

Ostatnie zwłaszcza miesiące były świadkiem dużego dynamizmu włoskiego świata katolickiego. To, co uderza, to coraz jaśniejsze zdawanie sobie sprawy z konieczności pozytywnego określenia tego, ku czemu się dąży, przyjęcia ducha ofensywy miast wyłącznie obrony istniejącego stanu, jakkolwiek praca to nie łatwa, opory psychiczne ogromne. Zastosowanie nowoczesnych metod pracy, nowoczesnych środków propagandowych, daje już bardzo znaczne wyniki. Niezapomniane były dwa zjazdy młodzieży katolickiej w pierwszej dekadzie września w Rzymie, kiedy ponad pół miliona młodzieży męskiej i żeńskiej defilowało ulicami Wiecznego Miasta, a Papież publicznie dwa razy w ciągu jednego tygodnia przemawiał na olbrzymim Placu św. Piotra. „Noc Święta", w czasie której dziesiątki tysięcy przystąpiło do Komunii św. pozostawia niezatarte wrażenie. To, co uderzało, to duża sprawność organizacyjna, jakkolwiek jeszcze nie taka, jaką wykazują podobne zjazdy młodzieży komunistycznej.

Trudno mówić o Italii i nie pamiętać, że ze Wzgórza Watykańskiego króluje światu Namiestnik Chrystusowy. Stąd, z Rzymu, w znacznej mierze rządzi się światem, w znacznej mierze na wypadki światowe się wpływa. Państwo Watykańskie, jakkolwiek o powierzchni zaledwie 43 hektarów, pozbawione materialnej siły — pamiętne jest zapytanie Stalina w Teheranie: „Ile Papież ma dywizji?" — znaczy więcej, aniżeli największe mocarstwo światowe. Ale też coraz mocniej rozlegają się głosy, by cała hierarchia kościelna i wszyscy wierni, cały Kościół, nie wcielali w życie jedynie ideału Kościoła Cierpiącego, lecz by w czasach walki byli istotnie Kościołem Wojującym. Wierni wszyscy coraz bardziej patrzą ku Watykańskiemu Wzgórzu pragnąc, by Papież dzierżył nie tylko w dłoni klucz Piotrowy ale i Pawłowy miecz.

Rozmowy prywatne i dyskusje publiczne, podobnie jak i gdzie indziej, coraz częściej obracają się wokół zagadnienia wojny, w rozumieniu oczywiście wojskowych działań wojennych. Wojny nikt nie chce, każdy drży przed nową ruiną kraju, ale czy ktokolwiek tu, lub bodaj w jakimkolwiek kraju europejskim, może lub będzie mieć na to wpływ? Niemniej ostatnio dyskusja o zachowaniu się na wypadek wojny została szeroko podjęta w parlamencie i prasie, przy czym wysuwano tezę o neutralności i nie przyłączaniu się do żadnego z istniejących paktów międzynarodowych. Tezę o absolutnej neutralności określono jako „abstrakcyjną", ale obawa przed zgnieceniem przez dwa rywalizujące z sobą bloki, wyraźnie już dziś uformowane jako przyszłe obozy wojenne, czyni ten problem niezwykle aktualnym. Italia, która wszystkim, co jest jej treścią, stoi po stronie Zachodu, zmuszona koniecznością niechybnie wybrałaby Zachód, podczas gdy komuniści wysuwając tezę neutralności i rozwijając gwałtowną propagandę „za pokojem i przeciw wojnie" pragnęliby zostawić możliwość wciągnięnia jej do bloku wschodniego. Trudno jednak przypuszczać, by którykolwiek z dwu głównych rywali był w stanie pozostawić Italię na boku, gdy godzina ostatecznej rozgrywki nadejdzie.

Jednym z najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych problemów jest zagadnienie ekonomicznej odbudowy kraju. Bezrobocie sięga prawie 2,5 miliona, przyrost naturalny wyraża się rocznie cyfrą około 400 tysięcy, brak terenów emigracyjnych i kolonii utrudnia, a nawet do pewnego stopnia uniemożliwia, odpływ nadmiaru ludności, a pomoc z ERP w ciągu pierwszych czterech miesięcy nie daje oczekiwanych rezultatów — oto w skrócie trudności, z jakimi boryka się Italia. Podobnie jak w innych krajach armia komunistyczna robi wszystko, co możliwe, aby normalną odbudowę co najmniej zahamować, o ile nie uniemożliwić. To zresztą tylko refleks tego dramatu, jaki rozgrywa się w całej zachodniej Europie.

Tak więc w zwierciadle włoskim odbijają się nie tylko problemy samej Italii, ale niemniej wyraziście zagadnienia całej Europy i polityki światowej.

W. ŁĘGOWSKI

DOKTRYNY A RZECZYWISTOŚĆ (2)

DOBROBYT BEZ WYSIŁKU?

W PIERWSZEJ części niniejszego artykułu umieszczonej w poprzednim numerze „Myśli Polskiej" zwróciliśmy uwagę na kontrasty zachodzące w obecnej sytuacji gospodarczej W. Brytanii. Mimo pełnego zatrudnienia i zwiększenia produkcji przemysłowej o blisko 1/5, a rolnej prawie w dwójnasób ponad poziom przedwojenny, na każdym kroku uderzają braki, z których najbardziej dotkliwym jest niedostateczna ilość artykułów żywnościowych oraz brak mieszkań — niektórzy czytelnicy może dodaliby tu brak papierosów. Stwierdziliśmy dalej, że jedną serią przyczyn, które powodują te kontrasty, jest szereg zjawisk spowodowanych wojną, jak katastrofa bilansu płatniczego, zniszczenia fizyczne, niepewna sytuacja polityczna i wreszcie konieczność modernizacji na większą skalę przemysłu angielskiego. Dziś zajmiemy się drugą serią przyczyn, którą można by określić wspólnym mianownikiem błędów doktrynalnych polityki socjalistycznej.

U podstawowych tych błędów leży przekonanie, że można podnieść udział robotników w dochodzie narodowym bez zwiększenia ich własnych wysiłków, kosztem natomiast zysków przedsiębiorstw i kapitalistów. Stąd wynikają dwa równoległe prądy wśród warstwy robotniczej — dążenie do coraz krótszego dnia pracy i domaganie się stałego podnoszenia płac.

Skracanie godzin pracy rozpoczęło się natychmiast po wojnie i osiągnęło swój szczyt w r. 1947, gdy 5,2 miln robotników uzyskało zmniejszenie tygodnia roboczego przeciętnie o 3,5 godziny. Najpowszechniej znanym przykładem było wprowadzenie 5-dniowego tygodnia pracy w znacjonalizowanych kopalniach, co spowodowało tak wielki spadek produkcji węgla, że już po kilku miesiącach

zwrócono się do górników z apelem, by dobrowolnie na nowo rozpoczęli pracę choćby w co drugą sobotę. Mimo płacenia za pracę sobotnią specjalnie podwyższonych stawek, wezwanie nie znalazło zbyt szerokiego oddźwięku i w rezultacie minimalny plafon produkcji 210 miln ton węgla nie zostanie w tym roku osiągnięty. Najnowszym wydarzeniem w tej dziedzinie jest znaczne skrócenie czasu pracy w hotelarstwie, co doprowadziło do zwiększenia kosztów robocizny o 25% i grozi zamknięciem szeregu przedsiębiorstw. Ostatnio związek pracowników sklepowych zażądał zamykania wszystkich sklepów w sobotę po południu, a wiadomo, że jest to czas największego ruchu w sklepach położonych poza centrum miast. Ustawodawstwo obecnie obowiązujące jest pod tym względem i tak surowe, gdyż zmusza nawet właściciela drobnego sklepiku obsługiwanego wyłącznie przez rodzinę do zamykania go w ciągu jednego popołudnia w tygodniu.

Czasopisma gospodarcze zwracają uwagę na coraz bardziej rozpowszechniające się zjawisko rygorystycznego wprowadzania zasady, że nie pracuje się po godzinie 6 po południu, a więc np. nie wyjmuje się po tej godzinie listów ze skrzynek pocztowych, a żadne biuro ani sklep w centrum nie pracuje po 6, wskutek czego nie można rozładować wieczornych ogonków do autobusu i przepełnienia w londyńskiej kolejce podziemnej. Niemożność rozłożenia zwolnień pracowników na inne dni czy godziny poza tzw. weekendem w rezultacie odbija się na nich samych. Ponieważ każdy chce wyjechać w sobotę po południu poza miasto, a ilość pociągów i autobusów oraz otwartych kawiarni i restauracji jest zmniejszona, powstaje tłok i ostatecznie znaczna część tego wolnego czasu zdobytego kosztem innych spędzana jest w niekończących się ogonkach. Ale doktrynie staje się zadość!

Z drugiej strony jest znaną rzeczą, że w okresie wojny płace robotnicze znacznie wzrosły, przede wszystkim przez wprowadzenie w podstawowych gałęziach produkcji tzw. płac minimalnych oraz stałe podnoszenie stawek. Presja związków zawodowych stała się jeszcze silniejsza po wojnie, wskutek czego wzrost stawek, a zwłaszcza faktyczne zarobki (to jest po uwzględnieniu zapłaty za godziny nadliczbowe) wyprzedziły znacznie wzrost cen i podatków, czyli płace podniosły się w swej realnej wartości. Wzrost ten wyniósł w stosunku do przed wojny w październiku 1947 r. w przeliczeniu na koszty żywności 47%, a na inne ceny około 16%. Cyfra ta ukazuje się we właściwym świetle dopiero, gdy się zważy, że w tym samym okresie spadły zarobki pracowników umysłowych w przeliczeniu na ceny artykułów niespożywczych o 19%, a dochody z odsetek i zysku o 26%. Nic więc dziwnego, że udział warstwy robotniczej w ogólnym dochodzie narodowym, po opłaceniu podatków, wzrósł między latami 1938 a 1947 z 39% na 44%, podczas gdy udział warstwy średniej (dochody pracowników umysłowych) spadł z 24% na 20%. Stanowi to prawdziwą rewolucję społeczną.

Wzrost płac robotniczych nie szedł niestety zupełnie w parze ze wzrostem wysiłku. Wprost przeciwnie — oprócz wspomnianego już skracania czasu pracy szerzy się zjawisko opuszczania pracy bez uzasadnionych przyczyn. „Absenteizm" w kopalniach węgla jest tak notoroczny, że wywołuje stałe krytykę w prasie i na trybunie parlamentarnej. Zresztą każdy, kto obserwował robotnika angielskiego przy pracy, czy to będzie robotnik przy naprawie ulicy, czy monter w domu zakładający nowy piecyk gazowy, czy malarz odnawiający ścianę, powie obiektywnie, że nie widać w nim chęci włożenia prawdziwego wysiłku w wykonywane zajęcie i że tempo jego pracy jest dużo wolniejsze od np. robotnika polskiego.

Przy tym nastawieniu nie jest oczywiście dziwne, że istnieje niechęć do związania zarobków z rezultatem pracy. Uczono robotnika przez dziesiątki lat, że akordowa praca wzbogaca kapitalistę, i dziś odmawia on przejścia na ten system, mimo że wie, iż zyski są ściśle kontrolowane a wysokie dochody konfiskowane podatkiem zabierającym do 19 s 6d. z funta. W ten sposób nie ma zachęty do wzmożenia wysiłku, zwłaszcza że normalna praca oparta na bardzo wysokim minimum płacy wystarcza na zaspokojenie zasadniczych potrzeb. Wobec zobowiązana rządu do utrzymania pełnego zatrudnienia nie działa także obawa o utratę pracy i wszystko to razem stwarza atmosferę raczej wygodnictwa niż chęci dopomożenia swym własnym wysiłkiem do wyjścia z ciężkiej sytuacji gospodarczej.

Struktura wywalczona przez związki zawodowe utrudnia także modernizację urządzeń i wprowadzenie lepszych maszyn. Znanym przykładem jest tu przestarzały przemysł włókienniczy. Ponadto istnieje opór robotników przeciw zwalnianiu zbędnych pracowników. Cóż za korzyść jest np. z zakupienia nowej maszyny wykonującej pracę szybciej i pozwalającej na zmniejszenie obsługi ręcznej, jeśli **shop steward** żąda zatrzymania przy danej pracy tej samej ilości robotników? W listopadzie br. wybuchł w porcie londyńskim strajk 350 robotników, którzy odmówili pracy przy nowo zakupionej maszynie wyładowczej, ponieważ oszczędzała ona pewną ilość pracy ludzkiej. Podkreślić tu trzeba, że nie może grać żadnej roli obawa bezrobocia, bo zwolniony pracownik otrzyma przecież natychmiast inne zajęcie. Jest to po prostu znowu ślepe stosowanie doktryny. Podobne tło miał w ubiegłym roku znany nieoficjalny strajk górników w Grimethorpe, gdzie nowe maszyny umożliwiły zwiększenie wyrębu węgla, ale robotnicy zaprotestowali przeciw wyznaczeniu im w związku z tym większego przydziału na tak zwanym przodku.

Utarło się w ekonomii nazywanie maszyn mechanicznymi niewolnikami — dziwić się trzeba, że robotnik angielski często nie chce zaprzęgnąć do pracy tych niewolników, chociaż cały postęp techniczny na tym głównie polega i właśnie zastosowanie maszyn spowodowało tę ogromną różnicę w poziomie stopy życiowej dzisiejszego robotnika w porównaniu z robotnikiem sprzed stu lat. Stanowisko robotnika angielskiego jest w pełnym kontraście do postępowania jego kolegi amerykańskiego, który przy współpracy swoich związków zawodowych popiera wprowadzanie lepszych maszyn wiedząc z doświadczenia, że w ostatecznym rezultacie podniesie to jego zarobki. Nic dziwnego, że produktywność (tj. wysokość produkcji na głowę robotnika) jest w Stanach Zjednoczonych przeciętnie dwa razy wyższa niż w Brytanii dochodząc np. w dziedzinie produkcji aparatów radiowych do sześciokrotności.

Angielskie związki zawodowe wyspecjalizowały się w praktykach restrykcyjnych. Mają one pewne normy wydajności pracy oraz szereg innych ograniczających przepisów i pilnują, by nikt nie pracował szybciej i lepiej. Bardzo przykre były w tym zakresie doświadczenia niektórych robotników polskich, którzy spotykali się z ostrymi wymówkami a nawet bojkotem angielskich towarzyszy za zbyt wydajną pracę.

Powstaje błędne koło, z którego trudno jest znaleźć wyjście. Ostatnio „The Economist" określił to w następujących słowach: „Robotnik budowy okrętów mieszka źle częściowo dlatego, że stosowane są restrykcje przez robotników budowlanych, cieśli i monterów; jego odzież jest racjonowana i droga częściowo z powodu oporu jego towarzyszy z włókienniczych związków zawodowych przeciwko automatycznym krosnom; jego dzieci odczuwają brak podręczników szkolnych, ponieważ ograniczenia w pracy stosują drukarze i introligatorzy; cały jego poziom życia cierpi z powodu międzynarodowej niewypłacalności kraju (deficyt bilansu płatniczego — przypisek autora), do której uzdrowienia przemysł budowy okrętów mógłby przyczynić się w dużo poważniejszym stopniu, gdyby nie powolna produkcja spowodowana jego własną akcją". Podobne rozumowanie można by przeprowadzić w stosunku do każdego działu produkcji, bo dobrobyt wszystkich zależy od wysiłku jednego, a dobrobyt jednego od wysiłku wszystkich.

Z małą wydajnością łączy się brak dyscypliny pracy. Wspomnieliśmy już o opuszczaniu pracy bez uzasadnionej przyczyny, co powoduje nie tylko stratę bezpośrednią, ale również pośrednio dezorganizuje i zwalnia pracę całego zdekompletowanego zespołu. Ostatnio **Trade Union Congress** (nadbudowa związków zawodowych poszczególnych gałęzi pracy) zwrócił się do związku zawodowego górników z apelem, żeby pomógł dyrekcjom kopalń w zwalczaniu tego absenteizmu. Sprawa nie została jeszcze rozstrzygnięta, ale opór lokalnych związków jest tak duży, że wezwanie TUC zostanie zapewne odrzucone i podstawowa gałąź produkcji brytyjskiej nadal będzie pozostawała w tyle za wyznaczonym plafonem wydobycia. Zdarzały się także strajki w obronie robotników zaniedbujących się w pracy lub lekceważących zarządzenia pracodawców, gdy kierownicy przedsiębiorstw chcieli ich zwolnić. W ogóle klasa robotnicza skłonna jest w atmosferze pełnego zatrudnienia do wywoływania strajków o byle co, przy najmniejszych nawet nieporozumieniach. Są to przeważnie drobne strajki lokalne, działające jednak hamująco na postęp produkcji. Bezstronność każe przyznać, że są one w ogromnej większości dzikie, to znaczy wybuchają bez zgody, a nawet nieraz wbrew woli związków zawodowych. Czasami dochodzi na tym tle do ostrych zatargów między kierownictwem związków, które lepiej ro-

zumie swą działalność, a masami, otumanionymi nieraz przez agitację komunistyczną.

Zaczyna wytwarzać się nowy stosunek robotnika do jego warsztatu pracy. Robotnik poczuwa się do pewnych praw, na równi niemal z właścicielem. Samo w sobie zjawisko to byłoby dodatnie, gdyby nie bardzo jednostronna interpretacja tych praw. Otóż robotnik często uważa, że jest tak dalece związany z daną fabryką, że żąda dla siebie nieusuwalności. Nie jest to już słuszny postulat pełnego zatrudnienia w ogóle, jest to wymóg stałego zatrudnienia w tej samej fabryce i nieraz przy tym samym zajęciu. Skutkiem takiego ustosunkowania się warstwy robotniczej element pracy w brytyjskim gospodarstwie narodowym staje się czynnikiem sztywnym, trudnym do przesuwania, a zatem nie nadającym się do najbardziej celowego użycia z punktu widzenia ogółu.

Widzimy tu pewną zasadniczą praktyczną trudność w zastosowaniu innej doktryny, właściwej zresztą nie tylko socjalistom. Mamy na myśli tzw. planowanie gospodarcze, którego jednym z podstawowych wymogów jest celowe i najbardziej ekonomiczne stosowanie pracy ludzkiej, która w warunkach angielskich jest przy tym elementem szczególnie cennym, bo niedostatecznym pod względem ilościowym. Nie tylko nie można w tych warunkach racjonalnie planować, przeciwnie, wzgląd na głosy wyborcze zmusza do planowania ekonomicznie błędnego. Ukazało się niedawno oficjalne sprawozdanie z pierwszego 3-lecia zastosowania **Distribution of Industry Act**, ustawy dającej rządowi ogromne prawa w zakresie rozmieszczenia przemysłu. Myślą przewodnią było danie zatrudnienia robotnikom w okręgach (**distressed areas**), które popadły w lokalny kryzys i posiadały lokalne bezrobocie np. Południowa Walia. Jednocześnie kraj jako całość cierpi na brak rąk roboczych, co wymaga przenoszenia się robotników z tych podupadających okręgów do innych mających lepsze warunki. Rząd wyposażony w instrument licencji budowlanych jest wszechpotężny i może dyktować, gdzie nowe fabryki mają być budowane. Natrafiając jednak na niechęć robotników do zmieniania miejsca zamieszkania rząd zaczął zachęcać przedsiębiorców do zakładania nowych gałęzi produkcji na miejscu, działając tym samym wbrew interesowi ogółu, a nawet wbrew interesowi lokalnemu, gdyż niektóre nowe fabryki nieracjonalnie „zaplanowane" musiały już ograniczyć produkcję i zwolnić część pracowników, którzy ponownie znaleźli się bez zajęcia.

Wspomnieliśmy już, że jedną z bolączek gospodarczych jest niewłaściwe rozłożenie rąk roboczych między poszczególnymi przemysłami. Niektóre gałęzie produkcji przyciągają ich raczej za dużo, np. wiele działów przemysłu metalowego i elektrycznego, przemysły tytoniowy i rozrywkowy, dystrybucja towarów; inne natomiast, jak rolnictwo, górnictwo i przemysł włókienniczy cierpią na stały niedostatek. Tak się przy tym nieszczęśliwie składa, że pierwsze należą do przemysłów służących bezpośredniemu spożyciu, a drugie wytwarzają dobra przeznaczone do dalszej produkcji, bądź towary o najwyższej wartości eksportowej. Różne są przyczyny tego zjawiska. Warunki pracy są bardzo nierówne, niektóre zakłady fabryczne, a nawet całe gałęzie produkcji są przestarzałe i niehigieniczne. Również tradycyjna struktura płac faworyzowała jedne przemysły, a zaniedbała inne, nieraz ważniejsze z punktu widzenia ekonomicznego. Najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłoby zachęcanie robotników do przenoszenia się do tych ważniejszych działów za pomocą podniesienia w nich poziomu płac. Oznaczałoby to jednak, że politykę płac musiałoby prowadzić państwo, a związki zawodowe zostałyby pozbawione jednego ze swych najcenniejszych atrybutów. Opór ich okazał się nie do pokonania i struktura płac w przemyśle brytyjskim jest w dalszym ciągu chaotyczna, zależna głównie od siły i presji odnośnego związku. Coś jednak trzeba było zrobić, by zwiększyć ilość robotników tam, gdzie interes gospodarczy tego wymagał. I tu napotykamy na jeden z najdziwniejszych paradoksów socjalnych. Zazdrosne o swe prawa związki zawodowe wolały zgodzić się na wprowadzenie przymusowego kierowania do pracy osób bez zajęcia (**Control of Engagement Order, 1947**) i w ten sposób zdradziły niewątpliwie podstawowe hasło socjalistyczne — zasadę wolności pracy. Mimo głoszenia „solidarności świata pracy" nie ma w rzeczywistości większego egoizmu niż egoizm zorganizowanej pracy, a za osobami podlegającymi przymusowi nie stał żaden potężny „związek zawodowy niezatrudnionych".

W praktyce stosowanie ustawy było łagodne i nie wywarła ona większego wpływu na rozdział rąk roboczych. Niemożność prowadzenia właściwej polityki zatrudnienia i prawdziwej polityki płac sprawiła, że wszystkie zamiary rządu mające na celu redystrybucję robotników między poszczególne gałęzie produkcji spełzły na niczym. Brak jest obecnie 24 tys. robotników w kopalniach węgla, 27 tys. w rolnictwie i 85 tys. w przemyśle tekstylnym, jest natomiast za wiele o 177 tys. w budownictwie, 40 tys. w handlu i 37 tys. w przemyśle rozrywkowym i pokrewnych. Brytyjskie życie gospodarcze posuwa się nie w kierunku wymaganym przez krytyczną sytuację, lecz po linii najmniejszego oporu.

Opisane zjawiska są główną przyczyną hamującą zwiększenie produkcji towarów najbardziej potrzebnych, a także powodującą nieproporcjonalnie wysokie koszty wytwarzania. Jaskrawym przykładem wysokich kosztów jest cena węgla, która w pierwszym roku po nacjonalizacji kopalń została podniesiona dwukrotnie i dziś przekracza cenę przedwojenną o 26 szylingów za tonę; ponieważ zaś węgiel jest składnikiem produkcji każdego właściwego wyrobu przemysłowego, mamy tu dalszy przyczynek do niekonkurencyjności cen brytyjskich.

Niektórzy członkowie rządu i światlejsi przewódcy **TUC** rozumieją niebezpieczeństwo sytuacji i niedawno min. Cripps starał się rozwiać zakorzenione złudzenia, że można podnosić płace robotnicze kosztem zysków przedsiębiorców. Oświadczył, że gdyby nawet obciąć te zyski o jedną czwartą, to wystarczyłoby to zaledwie na dodanie 4 pensów do każdego funta zarobionego przez robotników, czyli podniosłoby zarobki o jedną sześćdziesiątą. W ten sposób rząd usiłuje przekonać robotników, że tylko ich własny wzmożony wysiłek (połączony oczywiście z dalszą mechanizacją) umożliwi podniesienie realnych płac, a więc stopy życiowej.

Na tym kończymy przegląd polityki, albo raczej braku polityki na odcinku robotniczym. W trzecim i ostatnim artykule omówimy stosowanie sztywnych doktryn w zakresie inwestycji i konsumcji, jak również postaramy się wyciągnąć pewne wnioski natury ogólniejszej.

ZYGMUNT WASILEWSKI 1865 — 1948

PRZEMAWIAJĄC z okazji otrzymania nagrody literackiej „Prosto z Mostu" krótko przed wojną Zygmunt Wasilewski powiedział m.in.: Zadanie nas dziennikarzy porównać można do zadania zegarka. Mamy iść wciąż nie zatrzymując się i w s k a z y w a ć c z a s.

W tym lapidarnym ujęciu mieści się nie tylko określenie roli publicysty, ale także jak gdyby sprawozdanie życiowe Wasilewskiego. Przez przeszło pół wieku niezmordowanie i nie bacząc na najcięższe warunki, na własne ułomności fizyczne i kataklizmy dziejowe, wybitny ten pisarz szedł wciąż naprzód i wskazywał czas społeczeństwu polskiemu. Wskazywał czas zawsze z tego samego głęboko ludzkiego, głęboko narodowego i głęboko chrześcijańskiego stanowiska.

Zygmunt Józef Wasilewski urodził się 29 kwietnia 1865 r. w Siekiernie w Sandomierskim, z ojca Aleksandra leśnika i matki Marii z domu Ledoux. Dziadkiem jego był Józef Wasilewski generał napoleoński, a w czasach Królestwa Kongresowego komendant Zamościa. Dzieciństwo wraz z dwiema siostrami spędził Zygmunt Wasilewski w Suchedniowie. Do gimnazjum uczęszczał w Kielcach w latach 1875-1883. Kolegował tam ze Stefanem Żeromskim. Studia wyższe ukończył na Wydziale Prawa Uniwersytetu Kijowskiego. W 1893 r. ożenił się z Wandą Karłowiczówną, córką Jana, znanego etnografa, a siostrą Jana Karłowicza, kompozytora. Z tego małżeństwa pochodzi syn Tadeusz, pułkownik wojsk polskich.

Pierwsze kroki jako pisarz stawiał Wasilewski pod wpływem swego teścia zamieszczając studia etnograficzne w czasopiśmie „Wisła", a następnie wydaje pracę pt. „Jagodne", będącą opisem folkloru tej okolicy. Wkrótce potem zostaje sekretarzem komitetu budowy pomnika Mickiewicza w Warszawie. Jest też redaktorem książki sprawozdawczej z prac tego komitetu. W 1903 r. owdowiał i w kilka lat później ożenił

się po raz drugi z wdową po Stefanie Godlewskim Heleną z Kozłowskich, matką znanego później poety i nowelisty, piewcy Warszawy Stefana Godlewskiego, zamordowanego przez Niemców w Oświęcimiu we wrześniu 1942 r.

W latach 1892-1894 zajmuje stanowisko bibliotekarza w muzeum w Rapperswilu.

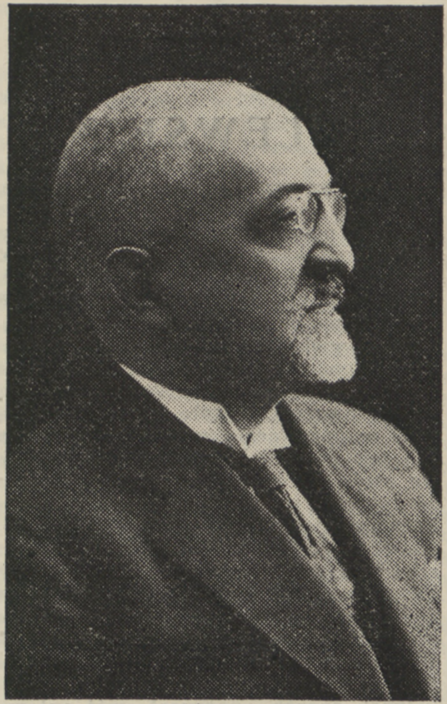
Na przełomie dwu stuleci Wasilewski wszedł w środowisko rodzącego się ruchu narodowego i związał się osobistą przyjaźnią z Janem Ludwikiem Popławskim, Romanem Dmowskim i Zygmuntem Balickim. W 1895 r. objął redakcję „Głosu" po Popławskim i prowadził to pismo do 1899 r. Z ramienia ruchu wysłany został w 1902 r. do Lwowa, gdzie objął redakcję „Słowa Polskiego", które rozwijał i prowadził aż do 1914 r. W owym czasie we Lwowie wytworzył także środowisko intelektualne i artystyczne, skupione dokoła powstałego „Towarzystwa literacko-artystycznego". Współpracownikami literackimi tego pisma byli m. in. Kłośnik, Jan Kasprowicz i Kornel Makuszyński, „odkryty" przez Wasilewskiego. Przyjaźń z Kasprowiczem była zjawiskiem rzadko w kulturze spotykanej kongenialnej współpracy poety z krytykiem. Nie można dziś studiować Kasprowicza nie wiedząc, co o nim napisał Wasilewski.

Równocześnie z pracą pisarską i organizacyjną Wasilewski w latach lwowskich wydaje kilka książek, jak np. „Śladami Mickiewicza", pracę krytyczną o Sewerynie Goszczyńskim, wydanie dzieł tego poety, oraz studium filozoficzne o przyrzeczeniu harcerskim.

W 1915 r. ze Lwowa Wasilewski przejeżdża do Petersburga i zakłada tam tygodnik „Sprawa Polska", z którym współpracuje Roman Dmowski, Zygmunt Balicki, Bohdan Wasiutyński i Stanisław Kozicki. Stamtąd przenosi się do Kijowa, gdzie redaguje „Przegląd Polski". W 1918 r. powraca do Warszawy i obejmuje redakcję dziennika „Gazeta Warszawska", najpoważniejszego wówczas pisma stołecznego, poświęcającego szczególną uwagę sprawom zagranicznym i prowadzi ją do końca 1925 r., kiedy to „Gazeta Warszawska" połączona zostaje z „Gazetą Poranną dwa grosze". W tym czasie Zygmunt Wasilewski obejmuje redakcję tygodnika „Myśl Narodowa", dokoła którego skupiają się najlepsze pióra obozu narodowego, od najstarszych do najmłodszych. Sekretarzem pisma zostaje Jan Rembieliński.

W okresie petersburskim Wasilewski prowadzi bardzo ciężką i nieubłaganą walkę o samodzielność polityki polskiej i niełączenie się jej ani z rewolucją, ani z polityką niemiecką. Jego przeciwnikiem jest Aleksander Lednicki związany z rosyjską partią Konstytucyjnych Demokratów, a będący przedstawicielem Rady Regencyjnej w Rosji. Echem tej walki jest proces Wasilewskiego z Lednickim odbyty już w niepodległej Polsce i opisany przezeń w książce „Proces Lednickiego".

W okresie warszawskim Wasilewski wydaje trzy najbardziej może znamienne książki. Pierwszą z nich jest „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej" — jedna z najgłębszych prac filozoficzno-społecznych w literaturze polskiej. Drugą jest wybór prac publicystycznych z okresu pierwszej wojny światowej pt. „Na wschodnim posterunku", trzecią książką o Norwidzie, którego



Wasilewski był jednym z najwcześniejszych badaczy i najlepszych znawców. Ostatnią przedwojenną książką Wasilewskiego była biografia generała Józefa Wasilewskiego pt. „Wnukom o pradziadku".

Wasilewski umiał skupiać dokoła siebie ludzi najrozmaitszych temperamentów i wiedzy, umiał być tolerancyjny w stosunku do różnych poglądów, a jednocześnie nieustępliwy w sprawach zasad w stosunku do życia. Wyjątkową dobroć serca łączył z wielkim poczuciem humoru, talentem polemicznym i niezwykle celną zjadliwością. Będąc człowiekiem naprawdę skromnym, pozbawionym wszelkiej próżności i pozy miał do każdego współpracownika stosunek bardzo pięknej koleżeńskości.

Oblężenie Warszawy w 1939 r. zastaje Wasilewskiego w mieszkaniu przy ul. Mokotowskiej 11. Sąsiedni dom zostaje zburzony, lecz archiwa i biblioteka pisarza nie są uszkodzone. Pod koniec 1940 r. pisarz traci wzrok. Prawe oko Wasilewski stracił jeszcze w 1900 r. Wzrok w lewym tracił stopniowo już na szereg lat przed wojną, lecz nie zmniejszał mimo to swej pracy. Gdy w 1940 r. pozostałe oko odmówiło zupełnie posłuszeństwa, dr Kapuściński, okulista poznański, dokonał zdjęcia katarakty i Wasilewski przez następne lata intensywnie pracował, lecz w 1944 r., w czasie powstania warszawskiego, nadszedł okres głodu. Wielki krytyk przez kilka tygodni karmił się wyłącznie jęczmieniem mielonym na młynku od kawy. W wyniku tego utracił ostatecznie wzrok. Mieszkanie na Mokotowskiej przetrwało aż do kapitulacji, lecz po powstaniu Niemcy wysadzili je w powietrze, niszcząc w ten sposób bibliotekę i sześć tek rękopisu.

O rozmiarach pracy Wasilewskiego pod okupacją (1941 — 1943) niech świadczy samo tylko wyliczenie prac: „Ptaki" — studium literacko-filozoficzne w formie noweli; „O sposobie pojmowania psychiki narodowej" — rozprawa, której rękopis znajduje się w jednej z bibliotek; „Jadwiga Marcinowska, zarys wizerunku" — praca biograficzna w posiadaniu Warszawskiego Towarzystwa Naukowego; „Życiorys" — autobiografia doprowadzona do 1939 r., rękopis wraz z bibliografią znajduje się w jednej z bibliotek krajowych; „Listy do przyjaciela" — zbiór korespondencji z Romanem Dmowskim, poprzedzony rozprawą Wasilewskiego, rękopis uległ zniszczeniu; „Lwów przodujący" (1895 — 1915) — studium o życiu kulturalnym Lwowa, rękopis wraz z materiałem ilustracyjnym w jednej z bibliotek. Ponadto Wasilewski opracował w tym czasie drugie rozszerzone wydanie monografii o Kasprowiczu, drugie wydanie książki o Norwidzie i książki „Azpazja i Alcybiades" (o Żmichowskiej i Norwidzie) — oba rękopisy zniszczone. Zniszczeniu również uległ rękopis przygotowanego tuż przed wojną zbioru szkiców literackich pt. „Przekazy XIX wieku".

Pozbawiony wzroku autor wyewakuowany zostaje po powstaniu warszawskim wraz ze szpitalem Czerwonego Krzyża. Podróż z Warszawy do Krakowa ciągnie się przez cały październik, a Wasilewski cierpi na ciężką dyzenterię. Do maja 1946 r. przebywa u przyjaciół w Krakowie, stamtąd przenosi się do jednego z najdawniejszych przyjaciół osobistych p. Romana Sobaczewskiego, do Wisły na Śląsku Cieszyńskim.

Kolejno zaczynają niedomagać płuca, a potem serce. Chory coraz więcej przebywać musi w łóżku, nie ma sił do dyktowania, a słuchanie lektury coraz bardziej go męczy. Mimo to zachowuje przedziwną pogodę ducha. W jednym z listów dyktuje z poczuciem humoru: „Literat, który nie może nic wypisać, cierpi jak krowa niewydojona. Praca całego życia wydaje mi się czymś zupełnie naturalnym wobec trudu bezczynności przymusowej w moim stanie dzisiejszym".

Pewne pojęcia o przeżyciach ostatniego okresu Wasilewskiego dać może fragment jego utworu „Ptaki": „Gdyby miał dawny dobry wzrok, zapewne zadowalał by się widokiem i poetyckim podziwianiem świata zewnętrznego, czytałby zresztą książkę, grzejąc się przy słońcu, ale gdy muślin zasłaniający oczy stają się coraz gęstszy, gdy zaledwie rozpoznaje obok w rabatach nagietki, a drzewa przed nim tworzą mur bez barwy i rysunku, gdy o czytaniu nie może być mowy, to pozostaje tylko robić użytek ze wzroku wewnętrznego. Wygasają zmysły, wzmaga się zaś łaknienie prawdy przed okiem ukrytej. Otaczają człowieka ślepnącego widma rzeczy rozpoznawane raczej z wyobrażeń niż ze swej konkretności. Łatwiej o rzeczach myśleć według pojęć

o ich istocie, niż według pojęć o ich postaci, przeto rzeczywistość przemienia się pomału w świat idei dostępnych jedynie widzeniu wewnętrznemu".

W jednym z ostatnich listów Wasilewski pisze do syna: „Mam nawet w pokoju staroświecki zegar, bijący srebrzyście kwadransy i godziny, mogę więc liczyć kroki prowadzące mnie w wieczność".

Zmarł dnia 25 października 1948 r. o godzinie czwartej rano. Pochowany w Wiśle.

W. W.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

WSPOMNIENIE O ZYGMUNCIE WASILEWSKIM

POZNAŁEM Zygmuta Wasilewskiego we Lwowie około roku 1903, kiedy przyjeżdżałem z gimnazjum do Krakowa na święta do rodziców. Potem od roku 1905, po maturze, osiadłem we Lwowie na stałe i wchodziłem stopniowo w tryby życia towarzyskiego, i życia umysłowego i politycznego za moim Ojcem. Byłem z początku zbyt młody, aby brać udział w naradach politycznych, w których formowały się wówczas pierwsze zarysy Stronnictwa Demokratyczmo - Narodowego; chodziłem tylko na zebrania publiczne, przede wszystkim dlatego, że tam przemawiał mój Ojciec, zanim zacząłem rozumieć i ogarniać wytyczne ideowej pracy i organizacji. Śledziłem pilnie tok myśli Ojca, tym więcej korzystając z każdej sposobności, że on sam, pochłonięty działaniem i pracą różnoraka, mało miał czasu aby ze mną o wszystkim bezpośrednio mówić. Ale, że często narady i zebrania odbywały się u nas w domu, zwykle w pokoju mego Ojca, czasem jednak kontynuowano je w salonie, lub przy obiedzie, poznawałem różnych ludzi bliżej i wypełniałem sobie luki w całokształcie mojego politycznego myślenia. Pomimo oczywistych braków, doświadczenia te były tym wyrazistsze, że wolne od pewnych skrępowań schematycznych i generalizowania tylko ostatecznych wyników myśli na użytek ogólny. Tutaj wiele rzeczy widziałem jakby in statu nascendi, tu odsłaniały mi się jakby źródła wewnętrzne, głębokie racje troski codziennej o sprawy publiczne, w tym bliższym, domowym niejako zetknięciu z twórcami kierunku. To obcowanie nauczyło mnie także odróżniać wśród głosów godzących się zewnętrznie na jedno, różne pobudki, głębokie i płytkie, rzetelne i koniunkturalne, zasadne i osobiste, które z czasem miały wyfermentować.

Jeszcze jedna była sposobność poza domowymi okazjami do czynienia tych obserwacji: Po takich czy innych zebraniach publicznych, niektórzy z panów chodzili do kawiarni, najczęściej Sauera na rogu ul. Akademickiej, lub na kolację do restauracji, przy czym ja trzymałem się Ojca. Szła wtedy swobodniejsza rozmowa o tym i owym, zwykle jednak w związku z tematami dnia.

W kole tym widywałem J. L. Popławskiego, Romana Dmowskiego, który czasem przyjeżdżał i Zygmunta Balickiego (tego więcej widywałem w Zakopanem i chodziłem z nim w góry). Stanisława Głąbińskiego, Leonarda Stahla, Józefa Buzka, Stanisława Grabskiego, z młodszych Jana Rozwadowskiego, czasem i w pewnych okresach Strońskiego, Dubanowicza, Kasznicę i innych, a prawie zawsze Zygmuta Wasilewskiego.

Jeżeli powiedziałem, że ten pierwszy, żywy kontakt z ludźmi kierunku narodowego był dla mnie propedeutyką politycznego myślenia, to muszę stwierdzić, że nikt po moim Ojcu nie był mi naprawdę większym a nieświadomym nauczycielem jak Wasilewski. Nie żebym bezkrytycznie słuchał wszystkiego co powie, owszem bywały kwestie sporne, choć w sprawach zasadniczych mało kto jak on umiał formułować prawdziwe racje, ale przede wszystkim dlatego, że wszystko co mówił poprzez aksjomaty kierunku sięgało żywej prawdy ludzkiego serca, nic nie było schematem, wszystko było wyprowadzone w kilku słowach na nowo. To nawet co kto inny także byłby powiedział, ale o motywowanie czego można by go zapytać, to w ustach Wasilewskiego nie potrzebowało żadnego motywowania. Nie to żeby w jakikolwiek sposób narzucał swój autorytet, był tak skromny, że po prostu można było nie zauważyć kto mówi, racja płynęła z głębokiego przekonania mówiącego, poza którym czuło się jasną i konsekwentną myśl, tak oczywistą i sugestywną, że jakby wyciągnięta z ust tego co słucha, choćby ten sobie z tego w danej chwili sprawy nie zdawał. Poza tym zawsze towarzyszyło Wasilewskiemu zainteresowanie człowiekiem, pobudkami i sposobem myślenia drugich, w pierwszym rzędzie ludzi innej myśli i innego postępowania niż jego własne. Bystry psycholog i człowiek ciepłego serca, który jakże często potrafił rozróżnić i wyrozumieć przeciwnika zwalczanego nieustępliwie, tak samo jak — najwierniejszy przyjaciel — umiał także krytycznie patrzeć na błędy i braki przyjaciół.

To jego stanowisko wewnętrzne ułatwiały mu szczególne cechy charakteru. Przede wszystkim cechująca go dobroć. A z dobrocią wiara w człowieka i optymistyczna wizja przyszłości Polski. Po drugie absolutny brak osobistych ambicji politycznych i jakiejkolwiek chęci robienia kariery, lub choćby wysuwania się na front życia publicznego. Po trzecie głęboka kultura historyczna i literacka, a przede wszystkim ciągłe studium rzeczy polskich i duszy polskiej oparte na tradycji i jej wątkach w psychice współczesnego Polaka.

Wasilewski był wtedy, aż do pierwszej wielkiej wojny redaktorem naczelnym „Słowa Polskiego", ówczesnego organu Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Pisywał artykuły zasadnicze, o ile pamiętam rzadko własnym nazwiskiem podpisywane, ale wpływ jego na kierunek polityczny stronnictwa sięgał daleko poza słowo drukowane, choć pamiętam, że na zebraniach więcej słuchał niż mówił. Szanował go wysoko, a nieraz także ku zdaniu jego przychylił się, pan Roman.

Miałem jednak sposobność bliżej poznać Zygmunta Wasilewskiego także na innym polu. Powołali oni wraz z moim Ojcem i Janem Kasprowiczem do życia Związek Naukowo-Literacki we Lwowie. Nie pamiętam daty jego powstania, byłem wtedy jeszcze w gimnazjum. W ten sposób życie polityczne i intelektualne Lwowa zostało objęte przez ludzi jednego kierunku, jednej myśli i jednej troski o ducha narodowego. Ojciec mój, który później przez długie lata był prezesem Stronnictwa, był także od początku prezesem Związku Naukowo-Literackiego. Głód pogłębiania problemów duchowych i ciągłej pracy u fundamentów wykraczał poza wszelką aktualność partyjną. Ludzie, którzy temu działaniu przewodzili, byli przede wszystkim ludźmi i Polakami na własny rachunek i na własną odpowiedzialność, a szukali wszelkich sposobów i dróg jako instrumentów działania, aby na tle humanistycznego uświadomienia człowieka utrwalić jego polski sposób myślenia i życia. Wasilewski był niezmordowanie czynnym wiceprezesem Związku. Po odczytach zaś szło się już stale do Sauera, bo to było blisko, w innym już nieco towarzystwie. Prócz Ojca mego i pana Zygmunta przychodził tam stale prawie Kasprowicz (który jako członek Stronnictwa Dem. Narodowego bywał rzadziej i na zebraniach politycznych), adwokat Władysław Michejda, sekretarz Związku Strusiński, Zygmunt Raczkowski, Juliusz Tenner i inni. Z pań dały się czasem namówić pani Godlewska, później Wasilewska, którą wspólne osobiste nieszczęścia zbliżyły były z panem Zygmuntem, pani Michejdzina, rzadziej także bliska nam, późniejsza moja teściowa, Maryla Wolska. Wasilewski nie mówił zbyt wiele, ale temat poruszony przez niego nie był nigdy banalny, myśl jego płynęła zawsze głębszym nurtem. Najczęściej dodawał zdania dociekające pobudek psychologicznych, jak kto do jakiej myśli przyszedł, wyjaśnienia zjawisk społecznych i politycznych z nastawień kulturalnych, czy oceny możliwości porozumienia intelektualnego. O Związek Naukowo-Literacki oparte było wydawnictwo „Wiedzy i Życia", które wydało szereg wielkiej wartości dzieł naukowych polskich i tłumaczonych (finansowanych przez księgarnię Altenberga).

Nie koniec na tym. W tej samej grupie ludzi powstało, było we Lwowie „Polskie Towarzystwo Wydawnicze", które wydało szereg pierwszorzędnych dzieł. Tam m.in. wyszło podstawowe dzieło Romana Dmowskiego „Niemcy, Rosja i kwestia polska", tam zbiorowe dzieła Kasprowicza, Maryli Wolskiej „Dziewczęta" i szereg innych. Zdaje mi się także dzieła St. Szczepanowskiego. Pamięć się zaciera, choć byłem w r. 1909, o ile także pamiętam datę, dyrektorem tej instytucji. I tu znowu duszą tej imprezy był, przeładowany pracą redakcyjna, polityczną i pisarską Wasilewski. Towarzystwo to było ufundowane jak „zupa z gwoździa". Stukoronowe wkładki deklarowane przez różnych, przeważnie niezasobnych przyjaciół, pościągane zaledwie w 1/4 części. Dyrektorowie „honorowi" ani nie rozumieli się na

handlowej stronie sprawy, ani nie mieli na to czasu. Zwłaszcza ostatni, prof. St. Zakrzewski. Długi Towarzystwa wzrosły do 130,000 koron, 100% ponad przyznany kredyt. Lekkomyślność dyrekcji skierowywała ją po podpisy na wekslach do najchętniejszych, choć najmniej zasobnych. Między innymi Kasprowicz i przede wszystkim najbardziej zawsze ofiarny Wasilewski żyrowali Towarzystwu po kilkadziesiąt tysięcy. Wtedy ja się nawinąłem, a że pewną sprawę podobną udało mi się szczęśliwie załatwić, pan Zygmunt uważał, że we mnie ostatnia nadzieja. Postawiony przed alternatywą, że albo przyjmę dyrekcję, albo Towarzystwo ogłosi upadłość, przyjąłem i dzięki nie mojej zasłudze, bo wtedy pierwszy raz dowiedziałem się co to jest weksel, a z takim przygotowaniem liczenie na moją energię było iluzoryczne, ale dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Pan Bóg jakoś poszczęścił. Wyprzedałem bez skrupułów po antykwarycznej cenie rocznik „Ateneum Polskiego" i inne rzeczy zalegające magazyn, pozmieniałem kilka niefortunnych kontraktów, trafiło się też jakieś rentowne wydawnictwo, czego właściwie nigdy nie można przewidzieć, i miałem zdolnego buchaltera. Zacząłem od konwersji podpisów żyrantów i rozłożenia ryzyka na więcej osób, na wszelki wypadek. Po roku, kiedy dług Towarzystwa spadł do połowy, pozostawiając je w innej sytuacji, wycofałem się, jak zresztą zapowiedziałem, by kończyć studia uniwersyteckie, zwaliwszy dalsze czyszczenie i stopniową likwidację Towarzystwa, które w założeniu było niewłaściwie handlowo postawione, na biedną głowę pana Zygmunta, za co mi zresztą nie szczędził łagodnych wymówek. Istotnie, choć już bez grozy beznadziejnej ostateczności, miał z tym wiele jeszcze trudu, a czasy wymagały zdwojonej pracy na innym polu.

Pamiętam później jak cieszył się z „Lamusa" którego założyłem i jaką życzliwością go otoczył.

Poprzednia wojna uczyniła nas towarzyszami tułaczki. W kilkanaście osób, wśród których byli Ojciec mój ze mną i pan Zygmunt, wyruszyliśmy na wschód przez Brody, Dunajów, Sławutę. Ojciec mój został w Żytomierzu, Wasilewski pojechał do Piotrogrodu, a ja do Kijowa. Każdy spełniał ciężkie zadanie jakie mu przypadło, jak mógł. Komunikacja nie była łatwa, a zaabsorbowanie własną robotą wielkie, więc nie wiem bliżej o działaniach pana Zygmunta, tyle tylko, że myśl jego służyła sprawie, a głos ważył silnie w piotrogrodzkim Komitecie Narodowym. Wydawał tam wtedy pismo „Sprawa Polska". Po moim wyjeździe do Moskwy przyjechawszy do Kijowa redagował w Kijowie dziennik „Przegląd Polski", który ja rozpocząłem był tam wydawać jako dwutygodnik.

Później, po wojnie, zeszliśmy się znowu na terenie ostatniej jego placówki „Myśli Narodowej", którą własnymi siłami i niezmordowaną pracą utrzymał, a której byłem współpracownikiem. Często też bywałem w Warszawie, zachodząc zawsze do państwa Wasilewskich. Szedłem tam z radością, zawsze byłem witany serdecznie i nigdy nie odchodziłem bez pokrzepienia i duchowego zasiłku. Łączyło nas więcej niżby to można napisać: łączyło nas w poczuciu narodowym coś więcej ponad matematykę aktualności politycznych, którą Wasilewski śledził najżywiej, a ja z nieco dalszej perspektywy, łączył nas związek duchowy z tradycją przeszłych pokoleń. Wasilewski opowiadał „Wnukom o prapradziadku", ja snułem w „Oknach" moje „Dumania archiwalne". Obaj szukaliśmy źródeł i wątków nieprzerwanych duszy narodu, starając się poznać jej ciągłość i przekazać ją w przyszłe pokolenia. On pisał także o moim dziadku w swoim „Norwidzie", o moim Ojcu w swej „Pieśni w górach" i mnie też zaszczycił czasem dobrym słowem. Wiem, że to było ponad zasługę moją, ale pozostanę mu za to na zawsze wdzięczny. Zdanie jego było — nie umiem tego wyrazić — może zbyt subiektywne, dlatego, że on oceniał to com pisał z tego co wiedział, że chciałem naprawdę powiedzieć. I to zrozumienie, to głębokie wyczucie duszy drugiego, ten szczery, serdeczny uśmiech zadowolenia, kiedy mu kto pokazał coś co mu się spodobało, było dla mnie prawdziwą podnietą wszelkiej roboty twórczej.

W sąsiedztwie małych ludzi i inni ludzie karleją. Zygmunt Wasilewski był z tych, w bliskości których inni rosną. Nigdy się do niego nie mówiło daremnie, byle się mówiło wprawdę, tak jak on mówił prawdę. Był jednym z tych prawdziwych, ciepłych ludzi, dokoła których tajała dzieląca przesłona. Dlatego potrafił nieraz wydobywać z człowieka to, co w nim było najlepszego. Nie rozporządzał stanowiskami, ani żadną protekcją. Toteż garnęli się do niego przede wszystkim ci, co nie mieli osobistych interesów na oku i których ponad wszystko prowadziła troska o sprawy publiczne.

Zgon Zygmunta Wasilewskiego nie był ciosem niespodzianym. Dożył poważnego wieku. Ale wiemy, że do ostatnich chwil życia pracował, niezmordowanie dociekał i szukał w ludziach — ludzi. Pomimo osamotnienia, pomimo zupełnej utraty wzroku resztę sił oddawał myślom o przyszłej Polsce. Strata jego dla kierunku narodowego jest o wiele większa niż dziś potrafimy bez perspektywy historycznej chwili obecnej ocenić. W zaabsorbowaniu z koniecznosci aktualnościami politycznymi coraz mniej jest ludzi szukających człowieka w człowieku — a fundamentem narodu jest „człowiek"—coraz mniej ciekawości na drugiego, coraz mniej ciepła serdecznego i coraz mniej prawdy między ludźmi. I coraz mniej tego dystansu w oczach, widzących poprzez doraźności spraw publicznych i osobistych prawdziwy, duchowy obraz ojczyzny. Nowe szeregi bojowników, młodzież odumierana przez dawnych, przedwojennych ludzi naraz i masowo będzie musiała zdobyć się na olbrzymi, samodzielny, długi i siły trawiący wysiłek szukania i chwytania wątków duchowych przeszłości, bez których naród przestaje być narodem, a których Wasilewski był jednym z najsilniejszych łączników.

STANISŁAW STROŃSKI

DO LWOWA

ZYGMUNT WASILEWSKI przybył z Warszawy do Lwowa wiosną r. 1902 na stanowisko redaktora naczelnego „Słowa Polskiego", największego dziennika w zaborze austriackim, od czasu gdy w r. 1897 objął go Stanisław Szczepanowski wraz ze swymi powinowatymi i wspólnikami w przedsiębiorstwach gospodarczych Kazimierzem Odrzywolskim i Wacławem Wolskim.

Po załamaniu się gospodarczym Szczepanowskiego w r. 1898 i jego śmierci w r. 1900, a również śmierci Odrzywolskiego w tym samym czasie, pismo pozostawało pod kierownictwem ich przyjaciół, Tadeusza Romanowicza i Tadeusza Rutowskiego, działaczy wybitnych, przewódców lwowskich obozu demokratycznego, którego przewódcą krakowskim był Adam Asnyk, również jednak zmarły w r. 1897. Obozowi temu, ścieśnionemu dzielnicowo w zaborze austriackim, zabrakło więc wówczas nie tylko skrzydeł Asnyka, ale ducha i umysłu Szczepanowskiego, Wielkopolanina z światowym obyciem i rozmachem, któremu te zacieśnienia były obce. A właśnie wówczas nowy wszechpolski ruch narodowo - demokratyczny kierowany przez tajną Ligę Narodową, po słynnej manifestacji w stulecie Kilińskiego w r. 1894 w Warszawie i konieczności przeniesienia się Jana Ludwika Popławskiego, Romana Dmowskiego i Zygmunta Balickiego do Lwowa i Krakowa, zapuszcza korzenie w zaborze austriackim przy pomocy nielicznych początkowo działaczy miejscowych, jak przed r. 1900 Ernest Adam, Stefan Surzycki, Apolinary Tarnawski, a nieco później, po r. 1900, Jan Gwalbert Pawlikowski, Stanisław Głąbiński, wnet i Aleksander Skarbek. Od razu natomiast, za sprawą tajnego Zetu pod opieką Ligi Narodowej, ruch ten ogarnął, jak płomień, młodzież, biorąc wśród niej górę we Lwowie już stale od r. 1897 i usadawiając się mocno także w Krakowie od r. 1900.

Otóż do najżywszych ognisk tego ruchu młodzieży, obok oczywiście szkół wyższych i stowarzyszeń, należały od r. 1900 związane rodzinnie domy Szczepanowskich, Odrzywolskich i Wolskich, właścicieli „Słowa Polskiego", wśród których, głównie za sprawą bardzo rzutkiego Antoniego Plutyńskiego, wówczas przewodniczącego „Czytelni Akademickiej", dojrzało w końcu r. 1901 i w początku r. 1902 postanowienie, by pismo powierzyć nowemu ruchowi.

Obóz wszechpolski narodowo demokratyczny posiadł właśnie od niedawna, w r. 1901, mały dziennik we Lwowie, „Wiek XX", nabyty głównie przy pomocy Franciszka Rawity Gawrońskiego, pisarza i historyka, zięcia T. T. Jeża Miłkowskiego, współzałożyciela Ligi Narodowej. Popławski, kierując tym pismem wraz z Józefem Hłaską, bardzo się do niego przywiązał, a ugruntowało się ono i nabrało rozgłosu, rzuciwszy i przeprowadziwszy w r. 1901 myśl wybrania we Lwowie posłem na sejm Jakuba Bojki, gdy upadł on w swym wiejskim okręgu dąbrowskim. Miał więc „Wiek XX" na razie pozostać nadal z Popławskim,

nie wysuwającym się, właściwie zbiegiem z ówczesnej Warszawy podziemnej, a do nowego wielkiego dziennika postanowiono wprowadzić kogoś z jawnej Warszawy pisarskiej, w jawnym nieja ko najeździe wszechpolskim.

W początkach r. 1902 pani Zofia Odrzywolska i Antoni Plutyński pojechali do Warszawy. Sprawę załatwiono w Lidze Narodowej. Była mowa o Bolesławie Koskowskim, którego pozostanie w „Gazecie Polskiej" warszawskiej uznano jednak za konieczne. Wybór padł na Zygmunta Wasilewskiego, raczej pisarza niż dziennikarza i polityka.

Wasilewski, jako redaktor naczelny „Słowa Polskiego", w którym wkrótce Popławski objął kierownictwo polityczne, a Józef Hłasko z Litwy uzupełnił wszechpolskość, pozostał zawsze głównie pisarzem także w dzienniku, któremu dawka polotu i smaku warszawskiego wychodziła na dobre. Rozwinął i mocno postawił dział pisarski, skupiając pióra i wydobywając je także spośród ówczesnych najmłodszych, jak Kornela Makuszyńskiego. Wyrwany z świata twórczego Warszawy, trafił jednak nieźle do ówczesnego Lwowa z Kasprowiczem, Staffem, Marylą Wolską, Janem Gwalbertem i Tadeuszem Pawlikowskimi, lwowską szkołą historyczno-literacką, a w dobę Wyspiańskiego w Krakowie. Posypały się jego wytworne i wnikliwe szkice i książki, a udział jego w ruchu narodowym, skupiającym się w Związku Naukowo-Literackim, był przewodni.

Wyjechał ze Lwowa w czasie wojny, w r. 1915, by drogą na Żytomierz, Kijów, Petersburg, dotrzeć znowu z końcem wojny do Warszawy, trochę do dziennikarstwa, ale, jak zawsze, głównie do pisarstwa, którego ognisko założył sobie w „Myśli Narodowej", równie rozmiłowany w świetnościach przeszłości, jak stale podążający z nowym ruchem twórczym.

Nigdy nie podnoszący głosu, mówiący niemal szeptem, nawet cięty był jakby niedomówieniami, jak w rozmowie z pisarką, lepszą duszą niż piórem, która mu wręczyła rękopis:

— Wie Pan, jak mam dosyć tej sanacji, teraz wszystko będę ogłaszała w „Myśli".

— Ale może, proszę Pani, oni nie są tacy źli...

Opowiadał mi to ś.p. Jan Rembieliński, jego młody i najmilszy mu współpracownik, który niemal jednocześnie z nim zszedł z tego świata.

W WARSZAWIE POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ

CODZIENNE zadania polskiego ruchu podziemnego zazwyczaj odbiegały daleko od literatury i poezji. Ale i w tej dziedzinie istniał odrębny polski świat nadziemny. Dla wieczoru literackiego, koncertu chopinowskiego, odczytu o filozofii, dla festiwalu muzyki z udziałem kilkudziesięciu osób ryzykowano bez żadnego patosu, nawet bez wzruszenia i emocji zgromadzenia, które pociągnąć mogły takie same następstwa, jak zebranie wojskowe czy polityczne. Po prostu bez tych wartości nie można było żyć. Nawet walka z okupantem stawała się bez nich czymś jałowym, jakimś „zawodowym spiskowaniem".

Senator Zygmunt Wasilewski nie mógł sam bezpośrednio brać udziału w czynnościach związanych z walką Polski Podziemnej, ani nawet oddychać tą atmosferą, jaką daje zetknięcie się z pewną ilością najbliższych ideowo ludzi. Ciężka choroba przykuła go do domu.

Nie mogąc czytać — słuchał czytania innych, którzy brali na siebie ten najmilszy obowiązek, przebywania z człowiekiem o tak wspaniałym umyśle i wiedzy z dziedziny najszerzej pojętej kultury narodowej.

Każdy z tych, co wtedy prowadzili pracę ideową w organizacji Stronnictwa Narodowego poczytywał sobie za wielki zaszczyt zaproszenie przez Senatora na rozmowę, z której wychodził pod wrażeniem zwiększonej odpowiedzialności. Bo Senator najchętniej podkreślał, że oto zajęliśmy zbiorowo „ich" miejsce — miejsce założycieli ruchu. Była to oczywiście duża przenośnia, ponieważ na te „ich" miejsca trzeba było „ich" przygotowania, doświadczenia i pracy. Najważniejsze jednak było poczucie odpowiedzialności za własny odcinek oraz konieczność myślenia poza trywialnym trybem wojny.

Toteż, gdy wśród innych naszych prac, skończyliśmy podziemne wydawnictwo książkowe antologii poezji polskiej, obejmującej wszystko, co było związane z frontem ideowym chrześcijańskim — jeden z pierwszych egzemplarzy zanieśliśmy właśnie Zygmuntowi Wasilewskiemu, którego uważaliśmy za patrona tej części pracy w ruchu narodowym.

Miało się właśnie pod wieczór. Szara godzina sprzyjała wślizgiwaniu się bez ostentacji do domu, którego bezpieczeństwo leżało nam tak bardzo na sercu. Ta sama szara godzina obejmowała półmrokiem duży pokój, którego trzy ściany od sufitu do podłogi zapełniały książki. Wiedzieliśmy, że ta biblioteka, to najstaranniej dobrany zbiór wszystkiego, czym kultura polska mogła się poszczycić od wieku XIX po czasy ostatnie; tu, w tym pokoju na pewno roiło się od pierwszych egzemplarzy z autografami i dedykacjami najświetniejszych pisarzy polskich, z którymi Zygmunt Wasilewski żył i pracował, których talent odkrywał i rozdmuchiwał. Na tle tego bibliotecznego skarbu biurko pod oknem, fotel, a na nim szczupła, starannie ubrana postać starszego pana, okrytego pledem.

Trzymając się blatu biurka wstał, przywitał się; miał w tych gestach także coś z cennego uroku, coś, co tak gwałtownie zanika razem z upadkiem naszej cywilizacji. Pytał o wypadki polityczne, o naszą pracę podziemną, o to, czy broń Boże, znów kogoś nie zagarnął terror niemiecki. I kiedy zaspokoił pierwszy, tak naturalny pod okupacją głód wiadomości o losach sprawy i najbliższych osób — dopiero wtedy przenosił się na teren sobie najmilszy, na którym mimo utraty wzroku poruszał się z doskonałą swobodą, świeżością, operując cytatami i nazwiskami i oddzielając z powodzi poruszonych spraw jakąś jedną, szczegółowy problem, związany z kulturą narodową.

— Przynieśliśmy Panu Senatorowi nasze najnowsze wydawnictwo — książkę.

— Książki wydajecie, no, no!

— I to poezje. Antologia poezji polskiej w czasie wojny. Właśnie nasza podziemna drukarnia odbiła pierwsze egzemplarze.

— Pokażcie, niech sobie obejrzę.

Spojrzeliśmy po sobie. Szara godzina i ledwie istniejąca możliwość patrzenia na jedno oko.

— Może zasłonić okna.

— Nie, nie — tak sobie dziś obejrzę. Jutro za dnia, popatrzę przez szkło. Poezje... Ożywił się. To bardzo dobrze — mówił prędzej — to bardzo dobrze, moi drodzy. Zawsze się bałem o te następne pokolenia, żeby nie machnęły ręką na takie sprawy. Nie jesteśmy jakąś partią wyborczą. Jesteśmy ruchem ideowym. Wielkim ruchem. Dobrze, że o tym pamiętacie.

Uniósł się na chwilę na fotelu biorąc książkę, jakby chciał już gdzieś iść. Trzymał chwilę w powietrzu nic nie mówiąc, a potem usiadł znowu, położył przed sobą i zaczął szczupłą ręką gładzić strony, odwracając je jedna po drugiej.

— A kto wam dał poezje?

Wyliczaliśmy autorów. Uśmiechał się jak do znajomych.

— To dobrze, bardzo dobrze — powtarzał i dalej przewracał karty, patrząc przed siebie. Wysmukły, ani trochę nie przygięty latami, chorobą i tą straszną wojną, która odbywała się tak blisko, za oknem, o krok.

Milczeliśmy. Czuliśmy prawie dotyk bardzo oderwanego pojęcia jak dziedzictwo z jednego pokolenia na drugie. Słychać niemal było przetaczanie się czasu na naszą stronę historii, wraz z całym ciężarem odpowiedzialności i wysiłku. Przed nami — wiek ubiegły, nazywany okresem pozytywizmu, jeden z twórców obozu politycznego — gładził karty niewielkiej książki poezji, wydanej w okresie masowych traceń. Czyżby tym gestem mówił, że na drodze do innych czasów trzeba także odnaleźć — poezję?

T.

WASILEWSKIEGO „KSIĘGA PIELGRZYMSTWA"

W czasie pierwszej wojny światowej pod koniec roku 1915 powstał w Piotrogrodzie tygodnik „Sprawa Polska", w którym współpracowali wszyscy publicyści obozu narodowego, znajdujący się w owym czasie w Rosji. Redaktorem „Sprawy Polskiej" — od października 1915 do końca 1917 r. — był Zygmunt Wasilewski; w każdym niemal numerze tygodnika ukazywał się jego artykuł treści zasadniczej, dotyczący podstawowych zagadnień bytu i cywili-

zacji narodowej. Po wojnie, w roku 1919 artykuły te wydane zostały w Warszawie w postaci dużego tomu pt. „Na wschodnim posterunku. Księga pielgrzymstwa, 1915—1918“.

Z książki tej przytaczamy szereg wyjątków, podając za każdym razem tytuł i datę artykułu, z którego zostały zaczerpnięte.

„Dwa poziomy“, 9 października 1915.

Widzimy teraz własnymi oczyma, w jaki sposób odbywają się przełomy w życiu narodu. Jak niegdyś, w czasach piastowskich i przed nimi, tak i do dziś dnia w rzeczywistości każdy okres przełomowy dziejów wyłania się z burzliwego potoku, nie ze stojącej sadzawki...

Jednostki, które znalazły się w takiej chwili przełomu dziejowego, doznają olśnienia od wielkiej prawdy, której ich uczyła zresztą religia, że są dwa porządki rzeczy — porządek doczesny, osobisty, samolubny, i drugi, życia powszechnego, wyższego, wiecznego. W tym drugim świecie jest życie narodu.

W sferze życia zbiorowego wola w czasach takich nabrzmiewa myślą; potrzebna jest nade wszystko jasna myśl. Przytomność, trzeźwość i męski spokój są niezbędnymi warunkami działania wszelkiego, a tym bardziej w okolicznościach budzących panikę.

Im cięższe jest położenie narodu, tym czystszy powinien być ton duszy rycerskiej, stawiającej wszystko, co prywatne na kartę zdarzeń. Człowiek przenieść się wtedy musi całkowicie do swego wyższego regionu psychiki politycznej i stać się w jednej osobie mężem stanu i żołnierzem swego społeczeństwa, zarzekając się wszystkiego, co kiedykolwiek zakładał sobie w życiu, dążąc do filisterskiego użycia osobistego.

Nie czas na sobkostwo, filisterstwo, ale też i nie czas na rozpacz i łzy. Jest to pora męstwa i wytężonej myśli o sposobach ratowania swoich ludzi i sposobach budowania przyszłości narodowej.

„Poczucie odpowiedzialności“, 12 grudnia 1916.

Życie polityczne nie jest wymianą zdań, opartą na zasadzie indywidualnej wolności, lecz pracą historyczną, wydobywającą z warunków realnych dnia dzisiejszego, co może być jutro. Trzeba w tej pracy uczestniczyć i nie brać z innych dziedzin dowolnych przesłanek. W każdym razie natchnienie do konstrukcji politycznych człowiek odpowiedzialny bierze z wewnątrz swego własnego narodu, ze swej krwi, ze swego sumienia. Obywatel odpowiedzialny co do źródeł swych natchnień musi być ascetycznie cnotliwy. Nie tylko nie handluje sprawami narodowymi, ale nie bawi się nimi. Zbyt poważna to sprawa.

Tylko niemowlęta mają prawo wszystkim się bawić, tylko one mają wolność osobistą, bez odpowiedzialności. Ale też bez nianiek istnieć nie mogą, choćby najgłośniej na nie narzekały.

„Poczucie rodzimości“, 2 stycznia 1916.

Być może tam w kraju wszystko zniszczone, spalone: nec locus, ubi Troia fuit; a jednak gromada ludzi, która wędruje, ma prawo nazywać się dalej społeczeństwem, narodem ze względu właśnie na to dobro duchowe, które w sobie wywiozła...

Z tych przykładów wynika wniosek, że jednostka, jako dusza wyrobiona w pewnym społeczeństwie, niesie z sobą część dziejów swego narodu.

Dobro wszelkie może być spalone i zrabowane, dopóki jednak są ludzie z kulturą, istnieje naród. Bo oni, wróciwszy na swoją ziemię, wysnują z siebie na powrót, odtworzą swoje środowisko i nie jakieś przypadkowe, ale właśnie swoje rodzinne. I nie tylko odtworzą prywatne siedziby, ale zarazem przywrócą starganą pajęczynę stosunków społecznych.

„Kultura i cywilizacja“, 23 stycznia 1916.

Narastanie duchowe człowieka — to kultura; to, co stwarza on poza sobą, jako przedmiotowe dobro wszystkich — to cywilizacja...

Życie normalne narodowe, polegające na szczęśliwym skombinowaniu warunków przyrodzonych z ciągle rosnącą w kulturze siłą popędową duchową, jest jedynym perpetuum mobile, jakie człowiekowi jest dostępne. Obrazowo można sobie to przedstawić jako trwałe związanie kultury z cywilizacją w ruchu obrotowym, dokonywającym się własnym ciężarem: człowiek, party wiecznie żądzą rozwoju i pełni życia, doskonali się, tworzy cywilizację, a ta znowu pomaga mu dźwigać się w kulturze.

Jeśli zaś między człowiekiem a mającą mu służyć cywilizacją stanie obca siła duchowa, to wtedy życie się rozprzęga.

„Psychiczny pierwiastek narodu“, 6 lutego 1916.

Skąd się biorą chore dusze? Najgłówniejsza odpowiedź: dusze chorują wtedy, kiedy przerwą czynny stosunek do rodzimej cywilizacji. Ona powołała je do życia, bez niej tracą żywotność...

Można ogólnie to zjawisko nazwać emigracją, — czy to wskutek fizycznego porzucenia ogniska narodowego, czy też wskutek wynaturzenia umysłowego. Można siedzieć w kraju i — choć to dosyć jest trudne — jednak wyłączyć się z prądu rodzimej cywilizacji.

Bywają rozmaite postacie takiej emigracji duchowej: 1) emigracja z przesytu cywilizacją, gdy duszom rodzime ognisko wydaje się zbyt skromne, więc błąkają się po szczytach cudzych cywilizacji, 2) emigracja z niedorozwoju, stan właściwy pariasom cywilizacji, 3) emigracja z załamania się moralnego (oddanie się na usługi innej cywilizacji w celu szkodzenia swojej), 4) emigracja z doktryny. Tu należą teoretycy i praktycy ogniskowania życia międzynarodowego...

Jeśli chodzi o soki pnia macierzystego, dusza emigranta musi wysychać. Zaledwie wyjątki przy wielkim napięciu woli i to na wysokim poziomie kultury związek z życiem cywilizacji rodzimej utrzymywać potrafią. Ponieważ kultura polska nie jest jeszcze tak stara i mocno wyrobiona, więc odosobniony Polak nie zdoła wytworzyć koło siebie własnego świata, jak to czyni np. Anglik pod każdym stopniem geograficznym, i szybko ulega, jak ciało fizyczne chłonne, wpływowi środowiska obcego.

Emigrację ratuje masowość, kiedy łatwiej i na dłużej stworzyć może dla siebie surogat ogniska ojczystego.

Jest różnica między Polakami, którzy kraj opuścili z powodów przymusowych dlatego, że ich patriotyczne dążności ratowania ogniska rodzinnego nie godziłyby się z nowymi kierunkami, a między Polakami, którzy emigrowali dla przyjemności lub zarobku. Tamtych kultura, choćby niewysoka, ale pogłębiona żywym uczuciem, dłużej opierać się może wpływom obcym, niż kultura tych, choćby znacznie wyższa, ale pozbawiona zasadniczego pierwiastka woli narodowej...

Choroby inteligencji emigracyjnej są zwykle skomplikowane. Jeżeli patriotyzm pojęciowy trwa w jednostce, to idzie on cały na teorię, nie licząca się z faktami, i kończy z lubością na symbolice sprawy narodowej. Liczenie się z faktami jest koniecznością duchową ludzi, którzy naród (cywilizację) robią, bo działać, to pokonywać fakty faktami: koniecznością zaś oderwanego intelektu jest teoria, doktryna, abstrakcja, symbol. Rezultatem licytowania się na teorię musi być maksymalne hasło przy minimalnej woli wykonania go — i zadowolenie się symbolem. Bo licytacja jest tu uniezależniona od jakiejkolwiek wykonalności, a ma na celu zadowolenie tylko własnego umysłu...

Choroba ducha narodowego na emigracji komplikuje się przez to, że umysły emigrantów, szukające dla siebie na obczyźnie środowiska, znajdują oparcie w umysłach obcych, ale pokrewnego typu emigranckiego, tj. takiego, które względem swego środowiska stoją na uboczu.

Z tego skrzyżowania powstają częstokroć potworne konstrukcje duchowe, nie dające się zakwalifikować do żadnego typu cywilizacji.

„Siła moralna narodu“, luty — marzec 1916.

Dzieje człowieka wypełnione są pracą jego nad tym, aby fakty przyrodnicze jego życia zamienić na jego dzieła, żeby to, co — przyrodniczo biorąc ogółem — jest wytworem słońca wszystko tworzącego, było dziełem jego dążeń moralnych do słońca ideału. Każdy ruch człowieka musi mieć sens moralny, jako świadomy i usprawiedliwiony jego wolą stosunek do świata.

Właściwie mówiąc, nie ma czynnych stanów duszy czysto amoralnych. Moralność nie wyczerpuje się stosunkiem człowieka do człowieka. W stosunku jego do świata materialnego tkwi stały pierwiastek moralny, mianowicie obowiązku względem samego siebie. Obowiązkiem tym jest przerabiać wszystko z czym człowiek się styka na pewną wartość duchową. Tam, gdzie całe życie swoje kładzie, nie tylko wejrzenie przelotne, w środowisku swojej krewnej gromady obowiązki te rozrastają się w stosunku do intensywności biologicznego interesu. Cywilizacja, wytwarzana w interesie biologicznym gromady, jest najwyższą wartością, wyczerpującą wszystkie siły moralne człowieka, jest wraz z człowiekiem, który ją tworzy, istnością moralną.

Istotą życia duchowego jest pierwiastek moralny, polegający na tym, że człowiek wszystko, co zachodzi jako fakt w jego życiu, stara się uzgodnić ze swoją wolą. Cywilizacja narodowa wytwarza się na zasadzie tych dążeń do przetwarzania środowiska na własność moralną. Hierarchia społeczna, historycznie powstająca, to uwarstwowanie kolejne sfer, które brały udział w wytworzeniu środowiska narodowego. Ich kultura wewnętrzna i ich stanowisko historyczne to dzieło cywilizacji przez nich stworzonej. Ścieranie się warstw wewnątrz społeczeństwa, brane za podstawę walk socjalnych, i towarzyszące temu tarciu fakty przewagi jednej warstwy nad drugą (co odbija się wybitnie zmianami w życiu politycznym społeczeństwa) są niczym innym, jeno emulacją o udział w tworzeniu cywilizacji.

Narodem jest — co chcecie — albo subiekt człowiek zbiorowy z cywilizacją swoją — albo cywilizacja plus człowiek tworzący. Naród to żywe środowisko sił twórczych, to sfera psychiczna koło ludzi, rzeczy i stosunków, to emanacja dusz w spólności jedno tworzących, suma tworzywa cywilizacyjnego, która ludzi wiąże. Cywilizacja narodowa tworzy naród tak dobrze, jak naród tworzy cywilizację. A w tym obrocie tworzenia decydującym momentem jest zaród państwowości, która grupę etniczną ustala w organizm narodu politycznego.

W tej twórczości cywilizacyjnej mieści się c a ł y c z ł o w i e k, czego nie dokona żadne inne połączenie gromadne. Wszelka inna organizacja życia jest w porównaniu z narodową mechaniczna i cząstkowo człowieka obejmująca.

NA MARGINESIE

TAJEMNICA ŚWIATA

DOKĄD świat zmierza? Pytanie to nie budzi żadnej wątpliwości u redaktorów „Dziennika Polskiego": świat zmierza na lewo. W czytelniku natomiast musi budzić wątpliwość, gdzie jest to „lewo". Komunizm? Redaktorzy oburzyliby się. Oni wiedzą z rozkładu jazdy, że świat zatrzyma się na przedostatniej stacji „Humanistyczny socjalizm". Wprawdzie dotychczasowe doświadczenia uczą, że kraje, które rozpędziły się na lewo, miały w rozpędzie ten przystanek, ale w przyszłości podobno tak ma nie być. Sam Kiereński mówi, że tak nie będzie.

My nie jesteśmy tacy pewni dokąd świat zmierza. Mamy nawet pewne wątpliwości, czy istotnie świat jest wagonikiem ustawionym na torze, na którego jednym końcu (prawym) jest kapitalizm, a na drugim (lewym) socjalizm. Niektóre skromne obserwacje skłaniają nas nawet do przypuszczenia, że świat odsuwa się jednocześnie od obu tych stacji, że oddalanie się od marksizmu nie oznacza powracania do kapitalizmu, a oddalanie się od kapitalizmu nie przybliża czerwonego budynku dworca Marksizm.

W wolnych krajach europejskich coraz silniej zaznacza się odwrócenie od komunizmu i coraz silniejsze stają się ruchy mu przeciwne. Nie są to ruchy kapitalistyczne, ale nie są też socjalistyczne. Socjalizm demokratyczny gra żałosną rolę słabnącego centrum. Więc kontynent europejski idzie na prawo? Na prawo z punktu widzenia marksizmu, ale nie ma prawo z punktu widzenia kapitalizmu.

Jest jeden kraj, gdzie istnieje klasyczna kapitalistyczna prawica: Stany Zjednoczone. I tam właśnie, wbrew wszelkim przesłankom klasycznej gry wyborczej, prawica ta przegrała, między innymi dlatego, że była tak kapitalistyczna. Czy znaczy to, że Ameryka idzie na lewo? Na lewo tylko z punktu widzenia kapitalizmu, nie z punktu widzenia marksizmu. Świadczy o tym klęska partii Wallace'a i nie zaznaczenie się nawet partii socjalistycznej.

Ale: czy demokraci amerykańscy i na przykład gaulliści, to ten sam świat? Na pewno nie. Demokraci są o wiele bardziej konserwatywni społecznie od gaullistów, a jednocześnie o wiele mniej antykomunistyczni. Trudno w ogóle porównywać. To nie jest ten sam tor. Wagonik świata nie stoi na żadnym torze i nie jest żadnym wagonikiem. Obraz kolei jest równie przestarzały jak alternatywa kapitalizm-socjalizm. Żyjemy w epoce samolotów odrzutowych. Świat może osiąść na rozmaitych lotniskach, a może ulec generalnej katastrofie. Odbywa się walka o stanowisko pilota. Jeżeli walka ta zakończy się bez katastrofy maszyny, to pilot zwycięski będzie usiłował lądować na swoim lotnisku, ale gdzie naprawdę wyląduje, to zależeć będzie od paliwa, atmosfery, terenu.

Są jednak ludzie, nie najtężsi może intelektualiści w świecie, którym to rozumowanie jednotorowe tak utkwiło w głowie, że nic poza nim nie rozumieją. Doprowadza to czasem do komicznych grymasów. „Trybuna" np. („Polish Fortnightly Independence and Democracy", jak objaśnia podtytuł) pisze w związku z wyborami amerykańskimi: „Jest tajemnicą poliszynela, że nawet nasze londyńskie Stronnictwo Narodowe uzależniało swoją dalszą taktykę (z sanacją lub przeciw niej) w sprawie kryzysu emigracji od tego kto zasiądzie w Białym Domu".

W ten sposób dowiadujemy się o tajemnicy poliszynela. Poliszynel strzegł jej bardzo dobrze przed członkami i sympatykami Stronnictwa Narodowego, którzy nie chodząc do kawiarń uczęszczanych przez poliszyneli, aż do ukazania się tego numeru „Trybuny" nie podojrzewali, że są uwikłani w problem taktyczny, czy iść z sanacją czy przeciw niej (który to problem rozstrzygnęli przed laty kiedy jeszcze dzisiejsi Trybunowie byli w sanacji) i że zależy to od tego, czy wygra stary sanator Dewey (z partii republikańskiej będącej odpowiednikiem Zw. Naprawy Rzeczypospolitej — Republican Repairers) czy nidowiec Truman (demokrata z m. Independence), natomiast za siedzibę swoją obrał redakcję „Trybuny". Biedny Pulcinello.

JANECKI

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

SPRAWA GRANIC WSCHODNICH

Szanowni Panowie!

W związku z listem p. Stanisława Skrzypka ogłoszonym na łamach cennego pisma Panów z listopada br. (nr 128,) pragnę w imieniu prezydium Klubu Federalnego Europy Śr.-Wsch. — Niemcy stwierdzić, że

1) pp. I. Mazepa i W. Mudryj nie wchodzą w skład naszego Klubu jako członkowie lub przedstawiciele ukraińscy, natomiast ze strony grupy ukraińskich zwolenników idei federacyjnej Klub nasz otrzymał zapewnienie, że do Klubu delegowani będą delegaci ukraińscy. Nazwiska ich nie zostały nam dotąd (12.11. br.) podane, natomiast dla jednego z nich pierwsze walne zebranie Klubu zarezerwowało stanowisko jednego z przewodniczących;

2) przyrzeczony udział ukraińskich członków i przedstawicieli w naszym Klubie nie został poprzedzony ani ze strony prezydium Klubu ani ze strony polskich przedstawicieli w Klubie żadnymi warunkami, a w szczególności żadnymi rozmowami dotyczącymi spraw granicznych.

DR KLAUDIUSZ HRABYK
sekretarz generalny

„MYSL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i administracja: 8 Alma Terrace, Allen Street. London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów) 12s lub 4 dol.
Prenumerata roczna (12 numerów) f.1 4s Od. lub 8 dol.